

JOHN ANTOINE NAU.

PAMIĘTNIK WARJATA

:: POWIEŚĆ ::

CZĘŚĆ CZWARTA.



:: ŁÓDŹ ::

Nakładem „N. Kurjera Łódzkiego”.

:: 1912. ::

WARSZAWA

WYDAWCA

ALFONZ

WARSZAWA

I.

Nie miałem szczęścia, pragnąc odo-
sobnić się zupełnie i zniknąć z oczu ludz-
kich przed dokonaniem czynu, który miał
wslawić krótki mój pobyt w stolicy. Ukryć
się nie tak łatwo!

Opuściwszy restaurację, znalazłem so-
bie dogodne miejsce u Darcourt'a, aby wy-
pić poobiednią czarną kawę, gdy najnie-
spodziewaniej zjawił się przyjaciel, który
mnie poznał natychmiast. Był to stary to-
warzysz, jeszcze kolega szkolny, któremu
zawdzięczałem bardzo wiele, który dwa-
dzieścia razy ratował mnie w najprzykrzej-
szem i najbardziej skomplikowanym poło-
żeniu, i któremu za to wszystko nie mia-
łem nigdy sposobności być w jakikolwiek
sposób użytecznym.

Rzecz prosta, że ucieszyłem się z te-
go spotkania, wiedząc zarazem, że w obec-
nym stanie umysłu popełnię napewno ja-

kaś niedorzeczność, która ostudzi jego przyjaźń dla mnie.

I nie zawiodłem się na sobie w tym przypadku. Przyjaciół powziął zamiar zaproszenia mnie na jutro na śniadanie.

Mam z nim usiąść do stołu, w gronie licznej rodziny: ojca, matki, teściowej, trojga dzieci, dwóch kuzynek, starego wuja, ja, istota opętana przez ciągle obcowanie z jestestwem rzeczywistym czy też urojonem, które mnie śledzi, dręczy, chwyta na uczynku głupstwa, szydzi, podnieca i odbiera wolę.

Ależ sam sposób mego zachowania, ruch każdy, mimowolny gest lub jego zamiar—a każdy pozna, domysli się prawdy. Nie, nie! nie przyjmę tego zaproszenia! Nie mogę! nie chcę!

Co powiedzieć jednak? Jaki wynaleźć pretekst?

Nie potrafię.

Odpowiadam dość szorstko:

— Jutro? Dziękuję. Nie mogę.

— Więc innego dnia?

Wynajduję wreszcie najgłupszą wymówkę:

— Nie mogę wcale: byłbym nieprzyjemny!

Napróżno mi dowodzi, przekonywa, że nie powinienem kryć się tak przed ludźmi,

że jestem wprost niegrzeczny; nic to nie pomaga, powtarzam mu bez końca to samo:

— Byłbym nieprzyjemny!... byłbym nieprzyjemny!..

Oddała się urażony, nie wiedząc co o mnie sądzić.

A ja pozostaję długo nieruchomy — z wielkim, bardzo wielkim ciężarem na sercu.

Źle wybrałem Darcourt'a. Wyobrażałem sobie, że będzie to miejsce najmniej odwiedzane przez dawnych moich szkolnych towarzyszy, a tymczasem widocznie jest wybranym punktem spotkania wszystkich znajomych z kolegum i czasów studenckich.

Oto: Haityjczyk, Remiljusz Saint Val Antenax, którego uważałem za pogrzebanego w Port au Prince, a który zjawia się w Quartier Latin na całe sześć tygodni. Bilet powrotny do Saint Thomas i Porto-Rico ma w kieszeni, ale stoi przedemną. Dobry, wesół chłopiec, jak większość jego współrodaków, stara się mnie rozśmieszyć i zabawić, ale na wszystkie żarty i dowcipy jedną bez zmiany odbiera odpowiedź:

— Jestem nieprzyjemny!

Jest zdziwiony i lituje się nademną, w zapomnieniu zaczyna mówić po kreolsku, on, najczystszy purysta, — ktoś rzucił na mnie „urok“, niema rady. Oddała się,

rozmyślając o „urokach, czarach;“ może rzuciłem w jego jasną duszę na chwilę cień posępny. Ale nazewnątrz jaśniej zawsze od stóp do głowy, jaśniej jego kapelusz jedwabny, buty lakierowane, błyszczą czarne oczy, lśnią białością zęby, mieni się blaskiem zdrowia oliwkowa cera, połyskuje, jak jedwab, czarne sukno garnituru i biały gors koszuli, usiany gwiazdami brylantów, i pierścienie na palcach.

Oto doktor Dubousquet, adwokat Graindorge, inżynier Galusky, poeci: Mauvel i Bonancourt, malarze: Croy, Luz i Brillac, muzyk Brice, niezrównany Sâr Assourbanipal Dupont, współzawodnik i wróg Peladana, — mniej utalentowany. Oto: Persil, Le Bigrier, przeniesiony z ulicy d'Ulm: modny kaznodzieja. Ksiądz u Darcourta? Czy nie śni mi się tylko? A jednak to on, w stroju katolickiego monsiniora. Dziwi mię to przebranie.

Tylu ich, całe setki! cisną się, napływają, tłoczą do sali, zostawiając jednak wolną przestrzeń pośrodku.

Nagle drzwi zamykają, spuszcza ciężkie metalowe sztory, właściciel zakładu daje znak, i z sufitu spada na środek sali... Irena. Tak, Irena! naga, i zaczyna tańczyć na kamiennej posadzce, otoczona ciemnymi postaciami, które stanowią ramy całego

obrazu. Sutanna księdza wyróżnia się między niemi, jak wiązanka fijołków między skabiozami.

Irena tańczy naga, pochyla się, prostuje, przegina z wdziękiem, który boli mnie i upaja.

Ktoś dotyka mego ramienia, potrząsa mnie. Poznaje: to poeta Nelix, dzięki któremu drukowałem nieraz moje wiersze w „Revue Rouge,” jedynem z pism paryskich, w którym miałem przyjemność czytać wydrukowane swoje imię.

Wszystko znika; kawiarnia wygląda, jak zwykle. Już nie marzę.

— Co ci jest?—woła Nelix. — Śpisz z otwartemi oczyma, jak lunatyk. Nie używasz przecież opium?

— Och! co do tego...—i nie chcąc go nudzić, tłómaczę się w krótkości.

— Bardzo pięknie!—odpowiada, wysłuchawszy całej historii—ale nie będziesz siedział tu do drugiej w nocy? W tak rozkosznem usposobieniu jesteś zdolny upić się, jak rzeczywisty członek Towarzystwa wstrzemięźliwości, a wtedy możesz łatwo wziąć bulwar św. Michała za własne łóżko w hotelu Perigord. Trzeba tego unikać, pragnę cię ocalić. Przepędzisz u mnie w domu kilka godzin: mieszkam, jak wiesz, tuż obok. Odzyskasz równowagę między

ludźmi spokojnymi, i sam cię odprowadzę potem do zajazdu.

Opieram się, jak mogę, przerażony myślą o spotkaniu z rodziną przyjaciela, ale Nelix prawie siłą uprowadza mię z sobą, nie słuchając tłumaczenia i wyrzutów. Mijam plac Panteonu; prawie nie wiem, jakim sposobem wstępuję na stopnie schodów, i nie mając chwili czasu do zastanowienia, znajduję się w dużym i jasnym pokoju, gdzie nieznane, ale miłe twarze patrzą na mnie przyjaźnie.

Przykra wieść: matka Nelix'a jest chora, ma okropną migrenę. Obiecuję sobie wymknąć się stąd jak najprędzej, i oznajmiam głośno, niezręcznie, jak zwykle, iż nie omieszkam uwolnić jej wkrótce od mojej obecności.

Na nieszczęście, przyjaciel zaczyna rozmowę o jednym z moich dawniejszych utworów, który niesłusznie uważał za znośny. Próżność mię oszołamia, rozgrzewam się, rozmawiam, promienieję głupotą.

Podano herbatę. Ja rozmawiam ciągle, coraz bardziej zadowolony ze swojej śmiesznej osoby, choć spostrzegam pewne oznaki zdziwienia, malujące się na twarzach obecnych, jeszcze uprzejmych dla mnie, ale prawdopodobnie już znużonych i niechętnych.

Spostrzegam wreszcie, że zmęczyłem wszystkich, że należy odejść niezwłocznie. Właśnie mam się pożegnać, przygotowałem już frazes, który... w tem... dzwonek! Wchodzi nieznany mi człowiek, nowy gość niewątpliwie.

Ach, niedźwiedziu nieokrzesany, pełen — słusznej zresztą — pogardy dla dzieł treści pożytecznej, jak np.. „Grzeczność właściwa i śmieszna!“ czyż ci nie przyszedł na myśl żaden ze znanych autorów, traktujących o przyzwoitem zachowaniu się w towarzystwie?

Zapomniałem zupełnie o migrenie pani Nelix, a przybycie nowego gościa splątało mi wszystkie plany i postanowienia.

A jednak pamiętam bardzo dobrze, co mówi o tem pani Augusta du Pont-aux-Choux w swej nieśmiertelnej i zadziwiającej pracy pod tytułem: „Grzeczność nielekomyślna, ale przyjemna“.

W kwestji tej mówi ona mniej więcej w ten sposób co do treści, gdyż nie ręczę za tożsamość wyrażeń:

„Jeśli w salonie jest dostateczna liczba osób, a przybywa gość nowy, ten kto przyszedł piewszy, powinien wyjść bez ostentacji, ale ze stoicyzmem“.

Rzecz pomyślana w gruncie znakomicie: genialne prawo przeciw przeludnieniu

Ale w mojej głowie wszystko jest naodwrot, więc i te proste słowa tłómaczą się nieco odmiennie:

„Jeśli warjat, zbiegły z domu zdrowia, znajdzie się u przyjaciół i zobaczy wchodzącego niespodziewanie nowego przybysza, nie poruszy się z miejsca, aby jego wyjście nie mówiło słowami pani Jagre: „Za dużo nas w pokoju“. Ostatnia przybywająca osoba jest stanowczo obowiązana wyjść pierwsza.

„Postępując inaczej, warjat dałby poznać, że go obecność nowo przybyłego ogłupia“.

Więc... pozostaję. Pozostaję i ani myślę się poruszyć, z bujnością azjatycką rzucając dokoła rozdzierające próby swej głupoty. Cierpię nad tem głęboko, gdyż nowo przybyły jest człowiekiem uprzejmym i rozumnym.

Dlaczegoż jednak nie odchodzi? Nie mogę przecież dać mu nauki grzeczności!

Trwa to w końcu tak długo, że przypominam sobie o migrenie pani Nelix, i przez litość nad tą staruszką decyduję się okazać niegrzecznym, ustępując ze stanowiska wbrew swoim zasadom i postanowieniu. Ale w tej samej chwili uparty gość także podnosi się z krzesła i, rzuciwszy

okiem na zegar, zwraca się do mnie z powagą:

— Wybacz, pan ale jest już bardzo późno. Moja matka, jak pan widzisz, jest cierpiąca, i nie taję, że sam jestem ogromnie znużony, a...

Okropność! To brat Nelixa, który tutaj mieszka!

O, chciałbym jednym skokiem przebyć wszystkie piętra i zanurzyć się w orzeźwiających ciemnościach piwnicy! Teraz dopiero widzę nie odwrotnie, lecz prawdziwy tekst prawa pani Augusty du Pont-aux-Choux! Ach, za wiele! za wiele! To okropne! Jakimże byłem gburem, nieokrzesanym, grubym! Kpię sobie z cywilizowanych przepisów surowej damy, ale postąpić tak ohydnie-prostacko, z pobudek tak banalnych, niskich, głupich!.. Cóż z tego, że pogardzam nędzą światowych przepisów, gdy dla nich sam doszedłem do podobnego rezultatu!

Brat Nelixa postąpił ze mną wspaniałomyślnie; zasłużyłem na proste wyrzucenie za drzwi... ach, wstyd! Ten ciężar wstydu!

Nie wiem zupełnie, jakim sposobem wyszedłem... Ach, co za położenie! Duszę się! Dławię!...

Zdaje mi się, że na ulicy zacząłem biedz

jak szalony. Nie, nie pójdę już do nikogo! Nigdy!

Pięknie spożytkowałem pierwszy dzień swojej wolności! A dalej? Czy potrafię być dostatecznie przyzwoitym, aby się nie narażać na zamknięcie w przytułku?

I taka osobistość chce porwać Irenę! To śmieszne i niemożliwe. Muszę się ukryć gdzieś bardzo daleko!

II.

Wyczerpany zmęczeniem i wrażeniami dnia tego, zasnąłem snem kamiennym. Nad ranem jednak zbudziły mnie marzenia dosyć przykre:

Pan Jagre, najzupełniej podobny do kota, z oczyma błyszczącymi, jak zielone świece, czy zielone płomienie — gonił Irenę, miaucząc, klnąc i mruczając; ugryzł ją w ucho, potem w szyję, i zabierał się do nowych pieszczot z moją biedną „małą księżniczką.“ Pani Robinet w dosyć zaniedbanym negliżu, bo tylko w kamizelce dżokejskiej, z pod której wystawały jej olbrzymie biodra... usiadła mi na głowie, aby mię powstrzymać, gdybym chciał biedz na pomoc niešťczęsnej Irenie. Nelix czytał akcentem HAITYJCZYKA San Vola mój utwór poetycki, w którym wysławiam te obrzydliwości, a ca-

ła jego rodzina, z Adrijanną, jako jednym z członków, goni za mną, bijąc kijami, i ściga aż na pokład wielkiego statku, gotowego odpłynąć do Antylów.

Dlaczego do Antylów? Miałem przeczuć, że w ciągu dnia dowiem się o tem.

Głuchy szmer pierwszych uderzeń szruby okrętowej zbudził mię ze snu przykrego. W rozdrażnieniu podnoszę ociężałe powieki i poznaję swój pokój chotelu Perigord.

Czas pochmurny, posępny, złowróżący. Ciężkie obłoki przesuwają się nisko, zdają się zawadzać o kominy domów. Mimo to, wbrew zmęczeniu i pewnego rodzaju zniechęceniu, z niezwykłym zapalem oblewam się wodą, zdobię starannie w wykwintny strój z cienkiego brązowego sukna, który kupiliśmy wczoraj, powiedziałbym: staje się pięknym, gdyby nie protestowała przeciw tak pochlebnemu wyrażeniu moja szkaradna gęba; jem śniadanie pośpiesznie i wybiegam na ulicę.

Focziwy stary Paryż zmienił się jakoś dla mnie; gniewa się, czy tylko ostrzega? Przed czym? Niebezpieczeństwo, czy zwykle trudności? Jego ciemne dziś domy robią jakieś miny. Czuję się tu zgubionym, obcym wśród tego tłumu, mniej ożywionego, jakby zmęczonego, odmiennego od ludzi,

których potraçałem wczoraj na prawym brzegu rzeki.

Paryż tu spokojniejszy, nie tak denerwujący dla parafjanina, jakim się stałem widocznie, ale zarazem chłodniejszy, może bardziej groźny. Wiem dobrze, iż to wrażenie niedorzeczne, ale zdaje mi się, iż widzę i odczuwam jakiś rodzaj smutnego fatalizmu, który unosi się nad tą dzielnicą kontrastu, gdzie szerokie, nowe i obce ulice pochłaniają gromady wielkich, czarnych mrowisk.

Na Bulwarze Inwalidów szukam numeru 750; znajduję go w końcu, blisko ulicy Sevres.

Jest to dom obszerny, w stylu nowożytnym, z idjotycznymi kopułami, które go czynią podobnym do brzydkiej targowej gali.

Czego chcę tutaj? Jakie chcę przedsięwziąć środki w celu zbliżenia się do „niej?”

Zaczynam rozmowę z odźwiernym poważnym urzędnikiem w granatowym surducie, zapiętym na wszystkie nikłowe guziki. Zaczyna ten funkcjonariusz rozstrzyga prędko moje wątpliwości i wyjaśnia mi do pewnego stopnia przeczucia i przestrogi dzisiejszego ranka.

— Pani Letellier? Wyjechała z mę-

żem przed dwunastu dniami na Gwadelupę, gdzie pan został gubernatorem.

Otóż słowo zagadki! Jeśli rozumiem dobrze tego dygnitarza, oznajmia on, że Irena, której gwałtownego małżonka wyprowadzono do Gwadelupy, aby nie dręczył ministrów kwestjami kolonialnemi mniej lub więcej, że Irena 10-go odplynęła z Saint-Nazaire statkiem do Antylów, towarzysząc małżonkowi, który śpieszył zająć nowe stanowisko.

Co teraz począć?

Biegnę, a właściwie koń dorożkarski biegnie, unosząc mię do biura Kompanii Transatlantyckiej, na drugą stronę rzeki, jeszcze niebezpieczniejszą.

Wiadomości są dobre; 25-go z Pauillac odplywa statek do Antylów, Wenecueli i Kolumbji. Jeśli do tego czasu nie zamkną mię gwałtem w domu Juliana, tym statkiem podążę za swoją „księżniczką“.

Mamy dziś 22-go; wyjeżdżając dziś wieczorem, będę w Bordeaux o dwa dni wcześniej, niż potrzeba. Tam nie grozi mi już żadne niebezpieczeństwo: nikt mię nie zna i nikomu nie przyjdzie do głowy tam mię poszukiwać.

Ogarnia mię gorączkowa niecierpliwość, niecierpliwość tak dziecinna, że nie mam siły oddalić się od dworca, i postanawiam

czekać w jego okolicach do odejścia pociągu o godzinie 7 min. 55 wieczorem.

Zajeżdżam do restauracji, o której sły-
szałem niegdyś. Muszę pokrzepić siły na
nową noc bezsenną, tym razem spędzoną
w wagonie; więc sumiennie napelniam cier-
pliwy żołądek, nie zdając sobie sprawy
z rodzaju zapasów, jakie biorę na drogę.

Co zrobię jednak dalej z całym dniem,
który mię dzieli od błogosławionej godziny,
kiedy na koniec zacznę zbliżać się ku uprag-
nionej?”

Niema jeszcze południa. Po śniada-
niu, wbrew zwyczajowi, zjadam tuzin [wy-
kałaczek drobnymi kawałkami, czego niko-
mu zresztą nie polecam. Palę cygaro, pi-
ję szklaneczkę koniaku, ot, dla zabicia cza-
su. W desperacji przeglądam „menu”
i kartę win, oprawne w imitację safianu
czerwonego, kiedy spostrzegam nagle...
dwóch znajomych, którzy dadzą mi przed-
stawienie.

Weszli do sali bardzo poważnie, z god-
nością, rzucając dokoła głębokie spojrzenia
i stąpając ostrożnie, jakby się lękali, że
posadzka wystrzelić może główką każdego
gwoźdźca.

Nie spostrzegli mnie. Sala dosyć na-
pełniona przez amatorów polędwicy i łososia.

Siadają niedaleko, przy stoliku wprost mego: rozdzielają nas tylko, niby ekran, liście jakiejś rośliny, podobnej dla mnie do buraka.

Jeden zdjął bardzo wysoki kapelusz o wielkiem rondzie, drugi — niski, pilśniowy. Zażądali śniadania, dysponując z wielką obfitością gestów, przypominających ruchy księdza przy ołtarzu, i całą litanię objaśniających poleceń, wymawianych półgłosem.

Załatwiwszy tę sprawę, zaczynają rozmowę między sobą, zawsze głosem przyciszonym; ale akustyka sali sprzyja mi w tym razie, i słyszę każde słowo, które tak tajemniczo wymawiają:

— Hm... razem! To się udało! Powiodło nam się, ale towarzysze „Klubu“ będą bez nas w wielkim kłopotcie.

— Największym, niewątpliwie... blim, blum, tak, nieskończenie! Nieskończenie, mechanicznie, blim, blum, razem, doskonale! Nasi krewni jednocześnie, blim, blum, mechanicznie, nieskończenie!

— We dwóch utworzymy małą rzeczpospolitą prawdziwej wolności. Każdy u nas będzie wolny: prezydent i obywatel!

— Co jednak mechanicznie skłoniło Le Lanciera... blim, blum, napisać do na-

szych rodzin nieskończenie, że jesteśmy, blim, blum uzdrowieni?

— Ach, byliśmy przecież trzy lata w zamknięciu i stanowiliśmy dwa ostatnie numery dawnej serji „zbytkownych“. (Dziwny zbytek!). Ojciec Froin przed wyjazdem żądał zobowiązania, że nie podwyższą nam opłaty za życie i utrzymanie. Le Lancier przyjął warunek, ale znalazł sposób uwolnienia się od niego, nie cofając danego słowa. Nie wziął grosza więcej od ukończonych naszych opiekunów, przeciwnie, uwolnił ich zupełnie od tego bolesnego wydatku, otwierając nam drzwi zakładu. Naturalnie, upewnił się poprzednio, że znajdzie inne podpory oddziału, które zapłacą mu potrójnie za nas.

— Dobrze obmyślane — i tem lepiej dla nas! Więc, blim, blum, my do Chili, mechanicznie?

— Tak wskazuje fluidyczna rada Maga Oïrla który popłynie statkiem Kompanji Bordes.

— A tam... już, nieskończenie?

— Tam znajdziemy chilijskiego adwokata, który za pośrednictwem konsula francuskiego odbierze najserdeczniejszym opiekunom naszą własność, którą raczyli się zaopiekować. Ponieważ nie jesteśmy obłąkami,—co stwierdza oficjalnie świadectwo

Le Lanciera o stanie naszego umysłu—mamy więc prawo posiadać majątek.

— Tylko, czy... pan się czujesz... nie-skończenie, tak rzeczywiście uzdrowionym, mechanicznie?

— Hm! hm!.. musimy się pilnować—prawda? Tam, w domu obłąkanych nie poprzestanoby na naszych drobnych... oryginalnościach. Klin klinem, ani słowa! To będzie wspaniałe! Na dozorców wybierzmy najlichsze osobniki, podległe karze sądowej, i zapowiemy im odrazu, że pierwszym ich obowiązkiem będzie znosić bez oporu postępowanie chorych, nawet bicie!

— Znakomicie!—zawołał w uniesieniu nieco zbyt głośnem pan Oswald Norbert Nigeot, mój towarzysz w cechu Apolina i ex-kolega z internatu w Vasselot.

Umilkł nagle, zaniepokojony swym okrzykiem i obejrzał się wkoło, aby sprawdzić, czy jego gwałtowność nie zwróciła czyjej uwagi.

Wtem... spostrzegł mię. Twarz jego staje się purpurową, siną, zielonawą pod siatkę krost amarantowych. Szepnął dwa słowa, i piękne oblicze doktora Magne'a, twarz niepospolita mędrca greckiego, zmienia się i krzywi w sposób odrażający. Skośnem spojrzeniem zobaczył mię także, i obaj „filozofowie“ podnoszą się jednocześnie,

odwracają do mnie plecami, z widocznym zamiarem przeniesienia się na inne miejsce.

Tak niewymowną przykrość sprawiło im niespodziewane spotkanie byłego współtowarzysza niedoli!

— Czy nie uważasz pan, jaki tu przeciąg?—pyta głośno doktor Magne.

— O, tak!.. blim, blum, musimy... tam dalej, mechanicznie... osłonięni...

Siadają dosyć daleko odemnie, ale podnoszą się zaraz znowu, poszukując innego miejsca. Tu ich nic nie osłania. Powtarzają swój manewr jeszcze kilka razy, zerkając ciągle z trwogą w moją stronę.

A ja powtarzam głosem przyciszonym:

— Ci ludzie nie są uzdrowieni! Jestem od nich daleko zdrowszy!

— Turlululu! — śpiewa i śmieje się Kmohoun.—W tobie ja tylko mam zdrowy rozsądek.

Znaleźli sobie wreszcie miejsce dogodniejsze i siadają, zadowoleni ze swego geograficznego położenia. Teraz bufet z grubą damą, zastawiony butelkami oliwy i wód mineralnych, osłania ich dostatecznie przed ciekawemi spojrzeniami.

Zapalam papierosa, płacę swój rachunek i chcę wyjść, aby nie dręczyć biedaków i pozwolić im zjeść spokojnie. Ale

Kmohoun ma inny zamiar: ja kieruję się ku drzwiom, ale uparty Tkoukryeńczyk zwraca moje kroki bez pytania w stronę bufetu. Bezwiednie idę wprost do „filozofów“, których twarze mają wyraz wzruszający niewypowiedzianego niepokoju.

Jeszcze chcę udać, że ich nie spostrzegam, ale Kmohoun żąda, abym im doku-
czył za to, że uciekli przed nami.

Jestem przerażony, kiedy głos okropny, głos strasznego niegdyś dla wszystkich Bidhomme'a, wychodzi z mego gardła, wymawiając znane słowa wspólnego prześladowcy:

— Ha! gałgany! łajdaki! wieprze! moczymordy! żryjcie i trawcie dobrze, gdyż punkt o trzeciej zabiorę was stąd do basenu, do kałuży! pod pompę! rozpustniki!

Kilka osób podnosi głowę, ale śpiesznie odwracają się od nas z wyrazem, jakby nic nie widzieli, i zajmują się swoimi talerzami.

Oczy Nigeota i Magne'a stają się kuliste, zdaje się, że za chwilę wyskoczą im z orbit. Twarze biedaków są sino-czerwone. Obraz przykry i nieestetyczny zupełnie.

Magne, mający więcej godności od towarzysza, pierwszy zapanował nad swem przerażeniem i stara się przybrać wyraz

uprzejmości; orjentuje się w położeniu i podaje mi rękę bez widocznego wysiłku.

— Ach, Venly! Co za przyjemne spotkanie!.. Siadajże obok. Tylko na miłość Boską nie naśladowuj tego łotra, Bid'homme'a! To przejmuję dreszczem mimowolnie!

Nigeot jest powściągliwszy i chłodniejszy. Przestraszyłem go, i ma żal do mnie. Jego ręce czerwone „jak surowe mięso” (według własnego określenia), drżą jeszcze dotychczas; brzydki nos czerwono-żółty, który zaćmiłby barwy hiszpańskich sztandarów, drga zlekka nerwowym ruchem.

— Wstrętny typ!—mruczy głucho.— Żle zrobiono, uwalniając tego szkaradnego... blim, blum, poetę. Hańba dla sztuki! Pisać będzie mechanicznie... blim, blum... nieskończenie!..

Jego małe, mongolskie oczy mają złośliwy połysk (nie mogę się wyrazić: blask lub ogień, mówiąc o tych maleńkich, brzydkich, błyszczących plamkach).

Zaczyna mówić znowu:

— Ja nie wydałbym nic za 3 fr. 50 cent. albo taniej! Swiństwo! Fabryka wierszy dla mnie,—dla Magne'a w potrzebie,—dla dwóch dziewcząt z Folies-Bergère. Jedyne trzy osoby inteligentne, jakie znałem. Wiersze... piękne, wytworne! Ry-

my? Echo przyciszone. Żadnych sztuczek parnaskich. Rym bogaty! Ach, rym bogaty, to... blim, blum, kopnięcie nogą. Precz tajemnice, sztuczki, mechanicznie!.. rym bogaty, jak mówi Baudelaire, który ma prawo mówić... ma prawo do tego... do bogacenia rymu, bo go nie nadużywa, bo to jest ON! Ach rym swobodny, niestały, powtórzenia, zwroty, przejmujący, smutny, błękitny, słodki, doskonały! — znakomicie, nie mechanicznie, nie blim, blum, wcale nie, absolutnie!

Nie mogłem oprzeć się myśli, że ten idiotyczny maniak ma jednak wiele słuszności tym razem w swojej niedosyć jasno określonej, a jednak zrozumiałej teorii poezji. Był to fakt dla mnie wyjątkowy, że mówił z jakimś sensem. I kocha Baudelaire'a! Tem gorzej dla samego nadludzkiego poety, ale tem lepiej dla tego poliszynela Nigeot! To namiętne uwielbienie może kiedyś uczyni znośnymi nawet głupie objawy jego kretynizmu. Wiem zresztą, że już w Vasselot Oswald Norbert zajęty był wyłącznie boskim twórcą „Fleurs du mal“, co stanowiło dla mnie jedyną nić sympatyczną z tym „Chińczykiem w malinowej galarecie“.

Złośliwy Kmohoun nie daje mi pokoju. Muszę, tak, muszę dokuczać tym dwom

ex-kolegom, niby uzdrowionym z zakładzie Vasselot.

— Słyszałem, -- przemawiam podstępnie—że jedziecie do Chili...

— Sły...szałeś... pan? Kiedy?..—jąka Nigeot.—Mówią o tem?

Całą brzydką twarz jego pokrywa siatka drobnych plamek żółtych i czerwonych.

— Ha, świństwo!—woła nagle.—Słowa, mowa, mechanicznie! Męczy wymawianie, a potem słyszą Inni, ci niegodziwi Inni! Biedni Ja! („Ja” to znaczy: ja i Magne, a pan jesteś wieprz, niechluj, Inny). Biedni Ja (jest nas może ze stu pięćdziesięciu na całej tej gałgańskiej ziemi)—i czemuż nie możemy porozumiewać się myślą, nie wysilając krtani i języka!

Widzę, że poeta Nigeot zgodziłby się z Kmohounem,

— I tylko... mechanicznie... tyle wysiłków, pracy na tej głupiej planecie! Ubieraj się, rozbieraj się, blim, blum! Nigdy nie możesz być w jednym stanie, musisz co chwila zmieniać położenie! Głupie, świńskie takie życie! Dobrze ci leżeć, prawda? Krak! Wstawaj! Musisz wstawać! Dobrze ci stać, czy chodzić? Blim, blum, blim, blum! Kładź się. Rozbieraj się, ubieraj się! Świństwo, mechanicznie! Straciliśmy futro, włosy, całe

pokrycie skóry, wycierając je głupiem ubraniem. Blim, blum, małpy! Piękniejsze od nas i lepiej ubrane, a żadnej... mechanicznie... pracy. Mechanika to kontrast myśli i inercji: chód, głupie ruchy ręką, pracowity idjotyzm istot dobrze wychowanych, brak oporu przeciw wszelkim niedorzecznościom, narzuconym przez nędzne tłumy, tyranizujące się same z bezmyślnem zadowoleniem i niedość ogłupione przez swoich „padyśzachów”. Tak, spojrzymy na małpy, piękne małpy! Żadnej mechaniki w stroju!—dzielne małpy! dobre małpy! Buch do wody! (jeśli im się to podoba) i gotowe! Ach, ten świat! Nędza, gdzie trzeba pracować nawet nad zapięciem głupiego bucika! Ach, kiedyż wreszcie znajdziemy się na innym świecie, wolni od wszystkich cuchnących dodatków? Nie, nie... lekkie istoty, wzlatujące w błękit, ciepło... ciepło! Drobne istoty... mechanicznie... blim, blum, nie mechanicznie, podłość!... drobiazg w piórach... jak ten drobiazg, co z drzew na nasze głowy zrzuca nieczystości, a potem wzbija się wyżej w powietrze i kuik! kuik!.. te maszynki-ptaki... nieskończenie, doskonale, tak, ptaki!...

I ten Mongol o przekonaniach Polinezyjczyka pochodzi z Saint-Etienne, miasta, w którym gorączka pracy dochodzi

do konwulsji przemysłowej. W gruncie rzeczy da się to jednak wytłómaczyć: jest „zmęczony od urodzenia“, jak się wyraził o podobnym stanie jeden z moich przyjaciół, który z Saint-Etienne nie miał nic wspólnego.

Nigeot jest szczery, szczerzy odemnie, gdyż ja nie wyraziłbym nigdy tak otwarcie swej miłości i najgłębszego szacunku dla miłego Lenistwa.

Doktor Magne przerywa nagle:

— Nigeot, mój synu, nie przesadzaj! Udajemy się do Chili nie dlatego, aby tam naśladować mały albo ptaki, ale w celu otworzenia wielkiego zakładu, o którym pomówimy. Prócz tego powzięliśmy obaj postanowienia nawrócenia ludności Chili, niestety, katolickiej przez wrodzoną lekkomyślność, ale łagodnej i uległej, która pojmie religię wielkiej bogini złego, rządzącej w rzeczywistości tym okrutnym światem. Nazwałem ją Panią Augustą, albo, jeśli pan wolisz, panie Venly, Panią Wdowę Augustą. Tę boskość użyżniającą czczą magowie: Oïrl i Shnoumah. Jest to ex-małżonka pewnego Brahmy, botanika, która na wzór ptaków na gałązkach drzew, o których mówił przed chwilą Nigeot, napędzając istnienia nasze nieczystością w końcu, mimo wszystko, da nam szczęście na tym świecie, czy

na innym. Nigeot, który jest wielkim rewolucjonistą, upierał się długo przy bóstwie Marovash, nieprzyjacielu policji, ale przywiodłem go do pojęcia idei zdrowszych; zburzył swoją fałszywą nieśmiertelność i zwrócił myśl na koniec ku ołtarzom, wzniesionym dla pani Augusty.

Niechący wywołaliśmy widocznie atak umysłowy doktora Magne'a, i nudzi nas jego „mitologia.“ Kmohoun nawet, który chciał ich nastraszyć wspólną podróżą do Chili, jedynie dla nacieszenia się fizjonomią każdego zrzekł się wrogich zamiarów, ma ich, dość i nagli mnie sam do odejścia.

Cieszy to szczerze przyszłych misjonarzy. Z rezygnacją przyjęli moją obecność chwilową, ale bynajmniej nie jestem dla nich miłem i pożądanym towarzystwem. Opuściwszy Vasselot razem, nie krępują się wzajemnie; ich losy połączyło do pewnego stopnia przeznaczenie. Mnie jednak nie spodziewali się spotkać: jestem dla nich groźnym widmem, wywołującym smutne obrazy przeszłości. A obok tego oni czują się prawie wolni, i jeśli nie uzdrowieni, to przynajmniej zrównani z ludźmi zdrowymi na mocy podpisanego przez dwóch doktorów świadectwa, każdy zaś ex-kolega bez podobnego patentu, ujrzany niespodziewanie na

wolności, będzie dla nich nędznym warjatem i zbiegłym galernikiem.

Na przyszłość powinienem unikać podobnych zetknięć z ludźmi, którzy mię znali (jeżeli naturalnie pozwoli na to Kmohoun) gdyż zarówno szaleńcowi, jak zdrowemu sprawiam jedynie przykrość i niepokój.

Ale jakże w takim razie postąpić z Ireną? Czy przestraszę i upokorzę ją także? Ona jedynie ma zupełne prawo lękać się mego zbliżenia.

Słodki obłąd próżności odpowiada mi na to: „Irena to Irena. Ona nie taka, jak inni. Ona mi przebaczy. Czyż nie przychodzi jej wyzwolić z pod tyrańskiej władzy tego potwora Letellier, złego czarownika“.

Jeszcze jedna wątpliwość rozdziera mi serce, ale się z nią załatwiam dosyć prędko: wyrywam jej szpony (tej wątpliwości), a właściwie je gniotę — i pokonana ucieka odemnie (wątpliwość) pod postacią czarnego, olbrzymiego ptaka, budzącego już tylko śmiech i litość. Ta dziwna materjalizacja wątpliwości przestrasza mię nanowo. Czuję się coraz bardziej niespokojnym, zmęczonym; obawiam się nowego ataku szaleństwa, nim ją ujrzę... tylko ujrzę!

O, Ireno! Twoje czarne, palące źrenice uleczą mię spojrzeniem! Ty kochasz mię, musisz mię kochać, tak niedorzecznie brzyd-

kiego, głupiego! Ty mi przebaczysz ohydną brutalność. Moja miłość dla ciebie, przed zbrodnią i po niej, była zawsze tak czysta... prawie zawsze! Tak czysta i tak tkliwa, że chwilami — jestem pewien — przebacza mi Świat Niewidzialny, że przestrzeń znika dla mnie, i czuję twoje serce, bijące przy mojem!

Uniesienie to jednak nie trwa długo: przypominam sobie nagle, że mam do załatwienia jeszcze wstrętą pańszczyznę. Muszę osobiście udać się do banku pp. Cash i Nothingelse i zażądać wszystkiego, co złożono na mój rachunek w gotówce i papierach wartościowych. Chcę z moją „księżniczką“ objechać świat cały, dopóki nie znajdzie sobie godnego królestwa na kilku hektarach ziemi, w jakim błękitnym kraju.

Biura banku znajdują się na prawym brzegu, na szczęście blisko mostu. Przedstawiam się w kasie zacnych Franko-Janke-sów (w papierach i ludziach), wymieniam swoje imię i nazwisko, przedstawiam papiery i żądam wszystkiego, co złożono w banku na moje imię.

Jakiś dżentlemen, typu irlandzkiego, ale mówiący nosowym akcentem stanu Kentucky, przegląda księgi, bierze kawałek papieru, kreśli króciutkie dodawanie, otwiera szufladę, wyjmuje kilka błękitnych papier-

ków, trochę monety srebrnej, kilka su — i podsuwa mi trzysta dwanaście franków, czterdzieści pięć centymów!!

Moja niema wściekłość, a następnie szalony wybuch gniewu nie robią na nim żadnego wrażenia. Wyjaśnia mi z powagą, że wszystko jest w porządku, gdyż tę sumę zostawił dla mnie do rozporządzenia „mój radca prawny,” pan Roffieux, resztę zaś kapitałów zabrał i przeniósł gdzieindziej. Zaczny urzędnik nie może objaśnić mię, gdzie mianowicie, gdyż sam tego nie wie.

Więc mam radcę prawnego, pana Roffieux! Dziwna rzecz, że mój kuzyn zostawił mi jeszcze i tę okruszynę. Dla niego niema sumy bez wartości.

Celto-Jankes tłómaczył mi postępowanie Eleazara: sumka ta nie wpłynęła przed bytnością męża Rauli, i sumienny opiekun sądził, że już nie wpłynie. Oznajmił więc na wszelki przypadek, że mogę ją sam odebrać, i prawdopodobnie odbiorę.

Nieźrównany Kentukczyk zamknął swoją kratę, i chcąc nie chcąc, musiałem się oddalić, by ochłonać ze zdumienia na ulicy.

Zapłaciłem dorożkę. Nie miałem już na to, aby trząść wnętrzości w pudełku na kołach. Omnibus nawet doprowadziłby mię wkrótce do ruiny. Istnieją wprawdzie jeszcze inne wozy, jako środki komunikacji, ale po-

pierwsze: nie spotkałem z nich żadnego, a powtóre: woźnice mają brzydki zwyczaj wypłaszania pasażerów głośnem smagnięciem bicia.

Po co zresztą mam wracać na lewą stronę rzeki? Zajechałbym do Bordeaux, ale potem? Przypuśćmy, że zdecyduję się przebyć ocean, jako pasażer klasy trzeciej, — w takim razie dopłynę do Antylów bez grosza.

Mógłbym jeszcze pracować na opłatę drogi, ale Kompanie parowców rzadko się zgadzają na podobne „kombinacje.“

Trzeba się będzie zdecydować na zagłowiec. W Nantes znalazłbym nie jeden, ale podróż kosztowałaby drożej, niż do Hawru, a tu mam w czym wybierać!

Wiem, że w Hawrze mogę spotkać Eleazara, który bywa tu bardzo często w różnych interesach; wiem, że nie sprawiłoby mi przyjemności wypowiedzieć mu, na co zasłużył, ale tem gorzej dla niego! Nie myślę się krępować dla podobnego łotra. Jeśli zranie jego próżność, wyleczy się prędko za pomocą kompresu z biletów bankowych, gdyż procesu mu nie wytoczę!

Nie uznaję żadnych sędziów, ani trybunałów.

Powracam więc na dworzec w Saint Lazaire, a w kilka godzin później zapóźnie-

ni mieszkańcy Hawru mogą mię widzieć spacerującego po wybrzeżu Orleańskim, pogrążonego w smutku, ale wpatrzonego z uczuciem nadziei w szereg statków, gotujących się do drogi.

Za późno dzisiaj, aby szukać kapitana lub właściciela dla zawarcia umowy, ale i jutro nie zbraknie słonej wody zielonawobłękitnej barwy, ani drewnianych cacek, pływających po niej.

III.

Jedenasta z rana. Wychodzę od pana Onesime Bourdon, właściciela Clippers antillais.

Poważny ten kupiec skierował mię do kapitana Le Coatmabergestmelen, polecając trójmasztowiec Augustyna Bourdon, odpływający za dwa dni do Pointe à Pitre na Gwadelupie.

Właśnie skręcam w ulicę Chilon, aby się dostać na wybrzeże, gdy na bulwarze Strasburskim spostrzegam zbyt mi znane dwie sylwetki. Mimowolnie się ociągam, zwalням kroku. Sylwetki zatrzymują się przed Wielką pocztą, potem znów idą dalej, zbliżając się ku mnie.

Eleazar i Raula nie domyślają się widocznie niespodzianki, jaka ich oczekuje.

Kmohoun mię podnieca i drażni szyderstwem:

— Sprawże im obojgu lanie, jak należy!

Jestem gotów posłuchać jego rady, gdyż twarz Eleazara promienieje dobrocią, prostą, męską, piękną otwartością; błyszczące oczy zdają się przemawiać:

— Jestem surowy, ale święcie sprawiedliwy.

Teń wyraz ciągnie moją pięść, jak żelazo piorun.

Nieźrównana Raula ma równie wstrętny wyraz twarzy. Łatwo zgadnąć, że się uważa za „kabię baz zarzutu, niazmiannie łaskawą i dabną, któha dziankuje Bahu, że wszystkie jej uczucia są phawe, alaganckie, właściwe i daskanale szlachatne“.

Słowo daję, podnoszę na nich łaskę!

Spostrzegłszy mię, oboje wykonywają szybki, ale bardzo widoczny ruch cofnięcia się z drogi; gdyby nie byli tak dystyngowani, jestem pewien, że zmykaliby, jak króliki do jamy. Ale instynkt przyzwoitości dodaje im odwagi, i uśmiechają się do mnie tak mile, że ja głupieję i mieszam się pod ich spojrzeniem.

Wstydzę się teraz strasznie swojej podniesionej łaski.

Uderzam nią nakoniec o troituar, aby nie cofać się zupełnie. Słowa cisną mi się

na usta. Chcą wyskoczyć. Kmohoun także nagli, zachęca, podnieca, a jednak przemawiam tonem prawie żartobliwym, w każdym razie grożącym bardzo słabo.

—A! gałgany, łotry, oszusty, złodzieje! Mam was na koniec, bandyci, piraci, rozbójnicy, szachraje!

Zrozumieli, iż mogą udawać, że biorą to za żarty.

— Jaki zapal!—przerywa Eleazar z ironją.—Czemu nie powiesz w słowach przyzwyczajonych, że masz urazę do nas, ponieważ nie odwiedziliśmy cię dawno w Vasselot? Ale byliśmy tak zajęci! Gdyby nie to, nie czekałbyś tak długo daremnie...

— Nia lubian wszelkich słów—przeciąga Raula;—ta mi psuje przyjemność widzenia cian, kuzynie!

— Bardzo byłem szczęśliwy,—podejmuje znowu Roffieux—że Le Lancier podpisał ci „świadcstwo“ na moje żądanie...

Robi szybki ruch ręką, jakby się chciał osłonić przed policzkiem, którego się widocznie spodziewał odemnie za podobną bezczelność. Ma wprawę w ten ruch niewątpliwie.

Co do mnie, przedewszystkiem jestem zawstydzony.

Staram się jednak wypowiedzieć mu

otwarcie, co myślę o nim i jego postępkach—nie owijam w bawełnę.

— Co ty wiesz, niegodziwcze, co się dzieje w Vasselot! Powiedz raczej, zbrodniarzu, coś miał za interes u Cash i Nothingelsa?

— Spełniłem obowiązek, za który kiedyś, później podziękujesz mi z głębi serca!—Naraziłem się na wszystko: na gniew twój,—gorzej: na twoją pogardę! aby cię bronić przeciw tobie samemu. Zniosę twoje obelgi, jeśli się do nich posuniesz, zniosę wszystko w poczuciu głębokiego zadowolenia, że oddałem ci braterską usługę.

— Nia spadziewaliśmy sian żadnej wdzięczności! —dorzuca Raula tragicznie.— Nasze bhatehskie uczucie ma jady nie pański intehes na calu. Mażesz nas pan oskahzać; przebacz mu, Alaazarze!

Ręce mi opadły. Oni mi przebaczą! Ledwie mogłem wyjąkać:

— To za wiele! Ci ludzie... Nie mogę!.. Jestem chory... zabity!.. Ach, nie brak wam zuchwalstwa!

Rzucam łaskę, wykręcam się na pięcie i zwracam ku nim. Eleazar może po raz pierwszy w życiu traci przytomność i panowanie nad sobą i krzyczy głośno na dwóch policjantów, stojących zbyt daleko:

— Wiążcie go! Zbiegły warjat!

Uciekają, — gonię za nimi. Schronili się w biurze poczty. Jeśli w miejscu publicznem zrobię awanturę, zamkną mię bez ceremonji. Więc cofam się ostrożnie, oglądając na policjantów, którzy nic nie słyszeli. Zajęci są woźnicami, przekraczającymi jakiś przepis; szarpia ich i kułakują.

Zwracam na ulicę Chilon i kieruję się ku portowi. Eleazar tutaj ścigać mię nie będzie; śpieszę jednak i oglądam za siebie. Nic nie widać. Czuję się przecież dopiero bezpiecznym od wszelkiego pośrednictwa i opieki, zarówno policyjnej, jak braterskiej, gdy minąłem pomost, łączący wybrzeże z Augustyną Bourdon.

Schodzę po schodach do kajuty, znajdującej się w tyle okrętu.

.

Zapach smoły, łoju, wódki i tytoniu.

W niewielkim, wybielonym pokoiku, w żółto-zielonawem świetle, płynącem przez drzwi otwarte, niewielkie okienko i dwa otwory, podobne do strzelnic, nad szklanką grogu siedzi poważnie kapitan, Le Coat-mabergastmelen, mąż pięćdziesięcioletni, o miedzianej brodzie i żółtawym zaroście, na którym nie widać jeszcze białych zwiastunów jesieni. Grog jest ciemny, mocny

i aromatyczny; wielkie cygaro, cokolwiek mniejsze od banana, otacza palącego się obłokami dymu.

Kapitan patrzy na mnie z pewnem lekceważeniem i pyta bez uprzejmej łagodności:

— Któż to panu pozwolił zejść po schodach do „pokoju?”

— Przychodzę od pana Bourdon.

— Sto bałwanów! To co innego! Można panu służyć?

— Czem?

— Szklanką grogu, do rekina!

Podaje mi cygaro wielkości banana, które po zapaleniu odsłania przedemną tajemnicę gorących wiatrów ziemskiego raju.

— Mocny, mało cukrzony.

— Bardzo dobrze, dam panu, t. zw. gwałtowny. Umieść-że swoje siedzenie na krześle. Zrzuć kapelusz! Nie mam dla niego kołka! A teraz raczysz mi pan wytłómaczyć, czemu zawdzięczyć, te łaskawe odwiedziny?

Kapitan staje się słodszy od grogu bardzo ocukrzonego.

— Pan Bourdon mię zapewnił, że zechcesz mi pan dać miejsce na statku w charakterze ucznia.

— A, babski synu! I nie wstydzisz się pan w swoim wieku!..

Odcukrował się w jednej chwili. Podsuwa mi jednakże szklanę grogu z wyrazistym gestem, który można wytłómaczyć:

— Nalana—wypić trzeba!

— Ależ, kapitanie, pan de Fialligny był uczniem na okręcie w czterdziestym roku, a ja mam trzydzieści pięć!

— Pewno. W marynarce kupieckiej stał się legendowym i wbił nam tylko klina, którego pozbyć się trudno. Już wiem, że przyjdzie mi w końcu przyjąć na tę posadę szacha perskiego, lub króla Gabonu. Co pan będzie robił na statku? Nic nie umiesz, do stu bałwanów!

— Prędko się nauczę; ręce mam zdrowe.

— Phi! kwestja pieniędzy! Cóż od pana żąda za to miesięcznie pan Bourdon?

— Dwieście franków, z powodu mojego wieku. Młodszy płacą połowę tej sumy.

(Niestety, wysiadając w Point à Pitre, nie będę miał nawet pięciu luidorów!)

— Dwieście franków! Podpisano. Jesteś pan zatwierdzony, jako pomocnik sternika. Prawdziwie po kupiecku: nietylko zwrot za żywność, ale oszczędność, gdyż prawdziwemu człowiekowi musiałby sam zapłacić. To dezorganizuje mi całą załogę. A myślałem już, że tym razem uniknę „narzuczonego ucznia”, ponieważ odpływamy pojutrze, i miałem już cały komplet. Tym

sposobem muszę usunąć człowieka, przyjętego od tygodnia. Do stu bałwanów! Ale tem gorzej dla pana: nic nie umiesz, a musisz pracować, jakbyś umiał, bo inaczej... wyrzucę cię, do rekina! Chcesz pan jeszcze grogu? Taki jestem! Wymagający, wymagający niesłuchanie! Poznasz pan moją rękę! Twardy... choć dobry człowiek. Pijesz jeszcze?

— Dziękuję.

— To się wynoś, ale wracaj jutro o siódmej rano. Kupisz buty morskie, bluzę, czapkę, dwie koszule flanelowe grube i koldrę na swój hamak. Przyniesiesz to wszystko i stawisz się ubrany w granatowym uniformie,—taki jest przyjęty na statku. Pomożesz do ładowania zapasów żywności.

IV.

Nic nie mogę powiedzieć o Point à Pitre; przez cały czas wylądowania statku byłem chory.

Odpłynęliśmy dalej, aż do Martyniki, gdzie przybyliśmy dziś rano. Dlaczego?

Dowiedziałem się, że pani Letellier, żona gubernatora Gwadalupy, jest cierpiąca (i ona też, biedna „księżniczka!”) i dla zdrowia zamieszkała chwilowo w Saint-Pierre. Oto przyczyna, dla której znajduję

się dotychczas na pokładzie Augustyny Bourdon.

Mam w kieszeni pięć franków; to cały mój majątek na zagospodarowanie się w tym kraju; dziesięć luidorów zapłaciłem za miesiąc kapitanowi. Z Hawru aż dotąd płynęliśmy okrągłe dni trzydzieści. Policzmy: dwadzieścia dwa od przylądka de la Heve do portu Point à Pitre,—droga przebyta z niezwykłą szybkością — sześć dni wyładowania statku w porcie, jeden przygotowania do drogi i dwadzieścia cztery godziny podróży do Martyniki.

Zdaje się, że na okręcie nikt nie płaci, że te sprawy załatwia się za powrotem z właścicielem, ale wmówiłem kapitanowi, że jestem chory: mogę stracić pieniądze, mogę co zbroić na ładzie, i zgodził się na koniec uwolnić mnie od niebezpiecznego złota. Tym sposobem nie okradnę Towarzystwa Clippers Antillas, gdyż domyślacie się pewno, że noga moja nie postanie więcej na pokładzie trójmasztowca.

Jestem sam, jestem wolny; stoję nad brzegiem ślicznej. uśmiechniętej rzeki, która płynie pośród bujnej zieloności.

Na pokładzie Augustyny Bourdon nie było mi źle i nie doznałem żadnej krzywdy. Kapitan jest stanowczo dobry czło-

wiek, czasem kapryśny trochę, ale na ogół względny, mimo surowych wyrażań.

Na nieszczęście, inne żaglowce zrabowały już wszystkie bogactwa kolonji, i nie wiem, w jaki sposób zdobędę tu środki, których potrzebuję nieodzownie, aby porwać ją jak należy.

Le Coatmabergastmelen zżymał się i niecierpliwiał (niesłusznie trochę) na doktora, zatrzymanego dłużej przez okręty z Niufundlandu, które przywiozły najpiękniejszą influencję i zaraźliwą gorączkę; ja zaś, razem z Kmohounem, przebiegałem myślą wspomnienia tej niezwyklej i dziwnej podróży, zachwycając się niewiarogodną pięknnością karaibskiego krajobrazu: Przejrzysty błękit nieba, cudowna zieloność, zdumiewająca bujność roślinności, drżący prąd życia wszędzie, wysokie szeregi i grupy palm wspaniałych, obwieszonych kokosami, a dalej różnobarwne, malownicze miasto, niedbale rzucone na ostatnie wzgórze, ciepło, blask drogich kamieni, przepych bogactw nieopisanych.

Tak, dziwna to była podróż. Ładowałem na okręt jarzyny i węgiel dla kucharza, czyściłem miedź, z majtkami zmywałem co rano pokład, usuwałem z blade-różowej podłogi... ślady psów kapitana, czyściłem klatki kur — cudne zajęcia!

Musiałem też pracować koło masztów, uczepony na drabinie, nad siecią rejów, jeśli z trudnością mogłem utrzymać się własną siłą.

Nie tak łatwo przywykłem do tych zajęć napowietrznych, a niezgrabność moja i tchórzostwo pobudzały nieraz do śmiechu wprawniejszych w tę zabawkę towarzyszków. Podczas niepogody zwłaszcza, pod silnemi uderzeniami fal i wiatru, liny, reje, maszty, każdy szmer nakoniec, każdy kawałek drzewa stawał się cienki, ślizki, nie uchwytny, to znów ostry i kaleczący mi stopy, gdyż na równi z innymi pracować musiałem boso.

Niebo czarne, gwałtowne porywy silnego wichru, krzyki mew, ostre, złowieszcze i nagłe, przenikały mię dreszczem i powiększały trwogę. Niekiedy zdawało mi się, że jestem potępieńcem na dnie piekła, gdzie szalone burze wodne zastępują karę płomienia.

Zdobyłem tam jednakże niektóre talenty. Nauczyłem się spuszczać i podnosić reje, zwijać żagle, wdzierać na maszty, utykać szpary, a nadewszystko czyścić i szorować, z czego bywałem niepomiernie dumny. Co, prawda, własne to zadowolenie nie przekonywało nigdy kapitana, który nie mógł uwierzyć w moje żeglarskie zdolności, i jeśli odważyłem się niekiedy okazać cień

pychy z powodu pomyślnego ukończenia pracy, która zdawała mi się bardzo trudną, albo i wprost nadludzką, — wzruszał tylko ramionami i mawiał bez złośliwości, ale z życzliwym lekceważeniem:

— Tak, dobry z pana chłopiec, stary chłopiec, stary do tego wszystkiego, a prócz tego cherlak i leniuch. Nie będziesz pan nigdy zdolny kierować nawet barką, która służy do oczyszczania portu z mułu. Nie posyłam cię już do steru nawet na pełnem morzu, gdyż nie masz ani oka, ani ręki, a gdybym ci powierzył statek blisko brzegu, popełniłbym rozmyślnie zbrodnię samobójstwa razem z całą załogą.

Musiał mieć słuszość, ale czułem się dotkniętym, zwłaszcza kiedy odmówił mi stanowczo nauki oznaczania szerokości i długości, utrzymując poprostu, że jestem na to za głupi.

Mieliśmy także kilka nocy bardzo przykrych, w okolicach wysp Azorskich. Te długie, czarne godziny na otwartym oceanie nigdy się nie zaliczały do przyjemnych, już w strefie umiarkowanej. Ciemność gęsta i czarna, nie rozjaśniona migotliwym blaskiem najdrobniejszej gwiazdki, — chłód przejmujący, przykry, — głuche smutne odgłosy morza, które zdaje się rzucać groźby, — niepewne światło ognia, rozlewają-

cych się we mgle, posępne nawoływania sternika, pochylonego na przód nad czarną otchłanią, straszny głos godzin, bijących przeciągle — wszystko mówi o śmierci i przepaści.

A jeśli jeszcze zerwie się wiatr silny, niepodobna znieść tego, i życie staje się okropnem.

Znużony, wyczerpany, rozgrzewasz się wreszcie w nędznym hamaku pod ciepłym przykryciem, gdy nagle ze snu pierwszego budzi cię krzyk trwogi:

— Na górę wszyscy!

Mógłbym być wtedy mordercą. Zduśliłbym kapitana własnymi rękoma, pomocnika i sternika na dokładkę.

Wyskakujemy z kajut nawpół ubrani, w trykotowych spodniach, bez butów, i skaczymy, padamy, niby piłki po pokładzie. Nikt nie ma siły utrzymać się na stanowisku, chwiejemy się na mokrych, śliskich deskach, które zmywają lodowate fale, padamy jeden na drugiego, podnosimy się znowu, chaos upadków zetknięć, skoków epileptycznych; potop rozkazów, dyspozycji; wdrapywanie się na maszty i zbieganie po drabinach, do bocianiego gniazda, na wielki maszt, do żagla, na reje, liny, chwiejące się i spokojniejsze, w miarę schodzenia na

dół, gdzie zanurzamy się w zimnym prysznicu...

I znów czołgamy się, wdzieramy w ciemność, spotykamy w porywach huraganu, w rzutach wściekłych fal morskich. Zdrętwiałe palce odmawiają posłuszeństwa, puszczają smolne sznury i chwytają je z rozpaczą, wciskają się, łamiąc i krwawiąc paznokcie.

Świt, ranek, i spostrzegamy, że szalupa zniknęła, że czołno do połowy zanurzone w wodzie. Ale pogoda śliczna, niebo lazurowe, słońce gorące złote. Naprawiamy więc żagle, umacniamy liny, doprowadzamy statek do porządku i mkniemy znów spokojnie po błękitnej toni, pośród płynnych, lśniących, potężnych pagórków, niebezpiecznych mimo zwodniczej piękności.

Bądź co bądź, nie zajaśniałem talentami narynarza. Kapitan, zniecierpliwiony nieraz mojem niezdarstwem i niepojętością, postanawiał „nauczyć mnie rozumu,” skazując na zwykłą karę po spełnieniu jakiego potwornego głupstwa. Ale wkrótce wyrzekł się wszelkiej nadziei spożytkowania podobnego materiału i w poczuciu sprawiedliwości skazywał mnie jedynie na spełnienie najprzykrzejszych i najwstrętniejszych robót.

Mimo to, — powtarzam — nie był to zły człowiek; obsypywał mię łajaniem i groźbami, ale nie żałował grogu, a podczas dobrego wiatru był w najlepszym usposobieniu. To też nie pozostawił „groźnego“ wspomnienia.

A Kmohoun? Ten ex-Tkoukryożerca milczał jak nieżywy i nie dawał śladu istnienia. Dopiero w przeddzień przybycia do portu, pod cudownie gwiazdzistym niebem, kiedy statek spokojnie kołysał się na gładkiej toni, mój prześladowca zbudził się jakby z letargu, dając mi znać o sobie słowami wyrzutu, godnemi obłudnego Aldebarańczyka:

— Obrzydły tchórz! zaraziłeś mię swoim strachem, mnie, najmężniejszego z mężnych Tkoukryeńczyków!

To śmieszne i szkaradne. Przestrach tak go ogłuszył, unicestwił, że nie miał odwagi nawet uciec sobie do Paryża i zdala od burz i wichrów szukać rozrywki w swoim ulubionem Ambigue.

Podczas ostatniej nocy, spędzonej na morzu, między Gwadelupą a Martyniką, udało mi się wymknąć mu na kilka godzin, sam nie wiem, jakim sposobem.

Nie zdaje mi się, aby widzenie moje nazwać można sennem marzeniem.

Wstaliśmy o północy, by zastąpić na

stanowisku towarzyszków. Powietrze było tak przezroczyste i błękitne, iż doznawałem chwilami wrażenia, że znajduję się w środku olbrzymiego szafiru, ciemnego ale cudownie przejrzystego.

Byłem zupełnie trzeźwy, jak w południe; poprawiłem przy wielkim maszcie liny ściągające; widzę dotychczas wyraźnie ich rysunek, zgięcia, każde rozdarcie żagla, nawet plamy.

Nagle wydało mi się, że staję się wyższym, rosnę, wznoszę się w górę; wtem poznałem już niewątpliwie, że nie jestem w swoim ciele. Widziałem je, to ciało, niżej na pokładzie, wykonywające mechanicznie ruchy, jakie mu zwykle moje nadawała wola. Zmniejsza się coraz bardziej, wreszcie znika.

Ja unoszę się wyżej, lekki, nieuchwytny, płynę w atmosferze coraz błękitniejszej. Mijam sfery jaśniejące i promienne, gdzie drżą tysiące blasków, błękitnych, srebrnych i zielonych, blado-żółtych i opalowych. Jest to wspaniałe piękne, ale mimo niematerialności mej istoty, zbyt jeszcze bliski jestem ziemi i jej życia, i dlatego potężnie odsuwam strach otchłani, a zarazem to nieokreślone wrażenie, że tonę i gubię się w nieskończoności. Kto odszuka mię w tym ogro-

mie bezgranicznym? kto będzie miał litość dla mnie?

Uspokaja mię głos kobiety. Czy to głos Joanny Stoltz, niegdyś ukochanej tak gorąco, którą wspaniałomyślny Eleazar przeznaczał mi na opiekunkę?

Nie! A jednakże!.. Moja słaba inteligencja nie pojmuje dokładnie znaczenia jej słów wzniosłych; nie byłbym zdolny ich powtórzyć, mam zaledwie pojęcie o ich treści, niedokładne, przybliżone, zaciemnione umysłowem odczuwaniem i rozumieniem, ponad które wzlecieć nie umiem. Zdaje się wszakże — i prawie jestem pewien, — iż mówiła, że niektóre wyjątkowe dusze ludzkie są tak piękne boską, nadziemską pięknością, iż nędzna, smutna powłoka cielesna ogarnąć ich nie może w zupełności. Więc dusza taka istnieje podwójnie: tu, na ziemi, zamknięta w doczesnem więzieniu i ponad nią, w postaci jasnej gwiazdy. Promienne konstelacje takich gwiazd duchowych, niewidzialne z naszej ziemi — unoszą się w przestworze bezgranicznym, i ku nim właśnie płynę, ku gwiazdzistej duszy Ireny.

Istotnie z nieopisaną szybkością wzno siłem się w nieskończoną, pełną blasku przestrzeń, pochłaniającą mię pięknością światła. Noc i pustka zniknęły dla mnie, jestem w archipelagu nieśmiertelnych świa-

tów: oto system słoneczny, którego nie ujrzą astronomowie ziemi,—oto miljarady gwiazd, deszcz klejnotów, nieocenionych, różnobarwnych.

Jakież liche, ubogie, prawdziwie ziemskie porównanie!

W tej olśniewającej, promiennej otchłani jedna gwiazda powiększa się szybko i rośnie; zbliża się ku mnie, może ku mnie dąży, gdyż ogarnia mię i zamyka w jasnym kole swoich blasków. Złoto-różowe światło objęło mą postać, jestem w niem uwieczony, zwierza się nademną w górze, zasłoniło mi wszystko.

Toczę się (duch), płynę, wzlatuję w tym blasku, coraz słodszy i rozkoszniejszy, tonę w nim, i nakoniec... dotykam się w sposób nieokreślony pięknej, ukochanej gwiazdy. Pięknej, tak, gdyż to cząstka mej Ireny, zależna od niej, lub nią władająca.

Jakiś kształt lekko oddala się zwolna, w szatach utkanych z promieni słonecznych: czy to Joanna? Czy umarła? Czy jej nieśmiertelna dusza spłynęła mi na pomoc z głębi sennych oceanów?

Słaba inteligencja, niski stan umysłu nie pozwala mi w całej pełni odczuwać szczęścia, które mię otacza. Jestem pewien, że tych kilka niedołącznych wyrazów, którymi usiłowałem je opisać, przeistoczyły

wszystko, zmaterjalizowały, skarykaturowały najzupełniej. To nowe i nieznane, tak zupełnie inne, niepodobne do opisania otoczenie, tak nieskończenie wyższe, doskonalsze od wszystkiego, co przywykliśmy widzieć zmysłem wzroku,—wydaje mi się dzięki temu zaślepieniu zmysłów, z którego nie mam mocy się wyzwolić, — odbiciem piękniejszym, lecz analogicznem tych rzeczy, które widziałem na ziemi.

To konieczne, nieuniknione porównanie; władam tylko znanymi wyrazami i narzucam je rzeczom nieznanym.

Oto niby roślinność: całe lasy kwiatów, samych kwiatów! Barwne korony, płatki, wonne kielichy kwiatów, poruszane lekkim powiewem, który jest jedynie balsamicznym i słodkim ich oddechem.

Wszystkie odcienie róż zdobią ten olbrzymi bukiet ruchomy, kołyszący się rozkosznym ruchem. Niektóre mają barwę ust brunetki, a ich zapach jest tak potężny i nęcący, iż mam wrażenie, że tworzy we mnie nową duszę.

Tu i owdzie kwiat jakiś wznosi się osobno, wielkości drzewa, kształtów fantastycznych, o zapachu tak silnym i porywającym, że to, co odczuwam, mogę wypowiedzieć tylko w ten śmieszny sposób, iż otaczające go powietrze zabiłoby potęgą

rozkoszy i szczęścia zwykłego śmiertelnika, gdyby niem odetchnął. W bezcielesnej postaci mogę niem oddychać bezkarnie, a nawet w upojeniu kąpać się w cudownym obłoku purpury.

Wielkie ptaki pryzmatyczne bujają wśród wierzchołków tych drzew-kwiatów, siadając na nich, jak pieszczoła blasku. Ich śpiew przeciągły, słodki, budzi magicznem echem rozmarzające wspomnienia przeszłości, piękniejszej nad wspaniałą teraźniejszość.

Niebo jest złote i różowe. Różane źródła biją tu i owdzie i płyną przetykane błyskawicami złota, a muzyka ich szmeru da się porównać jedynie do dźwięków harfy o kryształowych strunach, a mówiąc niedorzeczniej, ale zgodniej z prawdą, o strunach z żyjącego kryształu.

Całą tę boską naturę otacza i przenika zarazem słodkie uczucie radosnej tkliwości. Tonę w niem, płynę w zapachu róż lasu, w łagodnej i promiennej łąk jasności, w tej atmosferze rozkosznego upojenia piękna, które jest nieskończoną, odwieczną dobrocią, objawiającą się w zmiennych obrazach i szczęściu uduchowionem, „odmaterjalizowaniem“.

Ale, niestety, mimo całego pragnienia i najgorętszej żądzy pozostania na zawsze

w tej nadziemskiej sferze rozkoszy, o której dać nie umiem prawdziwego wyobrażenia, czułem się w niej obcym, niezharmonizowanym, brutalnym. W tej eterycznej sferze byłem zanadto człowiekiem, i dobrotliwa istność z uczuciem smutku i współczucia, iż okazuję się niegodnym szczęścia, które roztoczyła przedemną, prawie mimowolnie wygnać mię musiała z raju.

W chwili rozstania się z tą czarowną gwiazdą, ujrzałem cud nowy: jeszcze przejrystsze, jeszcze promienniejsze, niż otoczenie całe, nieprawdopodobnej piękności wysnzione pałace marzeń wśród bajecznej floty—to państwo wyobraźni mej „księżniczki“.

Nieco z boku rysuje się bardziej wyraźnie, pewniejszemi linjami rodzaj willi z werandą wspartą na kolumnach białego światła. Morze słoneczne oblewa jej stopy, sięga do śnieżnej posadzki balkonu, oblewa falą róże purpurowe i rzuca deszcz brylantów na las kókosowy, który otacza willę, zwieszając na dach długie swe liście pierzaste.

Zdaje mi się, że widziałem ten antylski domek... w marzeniu, czy na innym świecie...

.

Zbudziłem się (?) wołaniem do apelu na pokładzie „Augustyny Bourdon“...

W kilka godzin po niezwyklej tym śnie (?) czy marzeniu, żaglowiec nasz otacza archipelag łodzi wązkich, z obu stron ostro zakończonych, wszystkich odcieni: błękitnych, zielonych i różowych, zakreślających półkoliste linje na spokojnej powierzchni wody, mieniającej się barwami pawiego wachlarza. Większość płynie na półtów, albo z niego wraca; inne niosą „spacerowiczów“ różnobarwnych: białych, czarnych, miedzianych, brązowych, cytrynowych; dla wielu z nich przybycie żagłowca jest ponętne widowiskiem, więc pragną nim nasycić oczy.

W innych, wysyłanych przez „Missié l' Arrimeur“ płyną cieśle, utykacze, rzemieślnicy, rzeźnicy i handlarze owocami, którzy wiozą ich całe stopy: żółte, połyskujące banany, olbrzymie pomarańcze, pachnące, soczyste i dojrzałe, mimo ciemno-szmaragdowego odcienia, — łuskowate ananasy, mangę, gruszki, sapotile, adwokaty etc., niezliczone mnóstwo jagód małych i wielkich, podługnych i okrągłych, najrozmaitszych kształtów i barw. Wszystkie owoce są wy-

borne na Martynice, chyba lepsze, niż gdziekolwiek w całym świecie, prócz malin, granatowo-rubinowych, nęcących oko, ale szkaradnych w smaku.

Mała łódka z „Missié Dominique“ od-
dała się, kołysząc wdzięcznie, niby mewa
z rozpiętymi „skrzydłami“, nabrzmiałymi
wiatrem.

Większe statki ciągną się długim szeregiem, obładowane baryłkami rumu, beczkami cukru i towarem fantastycznym. Marynarze krzyczą, jak mogą najgłośniej, pochyleni nad pakami i skrzyniami, czarni, błyszczący, niby kawałki lukrecji, tamci barwy tytuniu, ziarn tonki, świeżej czekolady, palisandru, starego dębu, spróchniałego, okopconego, kawy palonej, kawy białej, ambrowo-żółci etc.

Na wodzie i pod wodą ruch i życie. Setki osób, od sześciu do sześćdziesięciu lat wieku, biegają po wybrzeżu, skaczą, pędem rzucają się w morze, wyciągają na falach, pływają jak „newfoundlandy“, przewracają w wodzie i igrają w niej, jak delfiny.

Tam, u samej przystani, płynie, jak procesja, tłum strojny w szaty jasne i wesołe, tryskający życiem, śmiechem i radością, na tle ciemnej, pięknej zieleni.

Łódź sanitarna zbliża się do nas na-

koniec; jesteśmy obejrzani i sprawdzeni, otrzymujemy pozwolenie udania się na ląd.

Spuszczamy łódź na wodę, zwieszamy drabinę: kapitan i czterech majtków zbiegają po niej i zajmują pośpiesznie miejsca. Jestem między nimi zgodnie z obietnicą Le Coatmabergastmeleny; dobijamy do schodków pomostu.

Pod ciemnem sklepieniem liści i zieleni upał jest odurzający, ale rozkoszny, przesycony zapachem kwiatów i owoców. Bijąca fontanna o szerokim basenie szmerze orzeźwiającą swoją piosnkę, a lekki powiew morza kołysze łuki sklepień zieloności.

Wśród stubarwnej wystawy owoców, zielonych cytryn, pieprzu tureckiego o najżywszym szkarłacie, fioletowych melonów, pomidorów, bananów, wszystkich owoców wysp o zmiennych barwach, mieniających się, błyszczących, niby pokrytych lakierem, i ryb połyskujących djamentową łuską, podobnych do wyrobów jubilerskich, na których mieniają się perły, rubiny, złoto i srebro—falują kołyszącym się ruchem kobiety, wysokie, smukłe, giętkie i powiewne, o skórze czerwonawej, albo blade, w tonie złotym i gorącym, brunetki i delikatnie rudawe zarazem, o piersi pełnej, biodrach w kształcie liry, strojne w gługie, wlokące się tę-

czowe szaty, z ognistemi wstążkami w czarnych włosach.

Blask tej słonecznej i płomiennej plamy staje się chwilami tak rażący, że wprost oślepia, zwłaszcza w okręgu promieniejących blaskiem szkarłatu owoców, pomidorów, pieprzu i cytryn zielonych, skąd, zdaje się, że lada chwila buchnie płomień.

A niżej wielkie palmy kołyszą się ciicho w powietrzu błękitnem, skrzącym złotemi iskrami.

Gruby, niski czarny rzeźnik, lśniący, jak morwa, dzwoniąc nożem o stół kamienny, sprawia ogłuszającą muzykę, w celu zwabienia kupujących. Stara, ciemnej cery kobieta, uwieńczona kokardą żółtolila, cierpko dopomina się o „kawalek mięsa“, którego brakowało wczoraj do pełnej wagi. Rzeźnik odpowiada w narzeczu kreolskiem, nie robiąc sobie wcale ceremonji.

— Wynoś się, jeśli nie chcesz co oberwać!

Powtarza kilka razy tę przestrogę tonem coraz groźniejszym. Biedna kobieta traci nakoniec odwagę i decyduje się usłuchać rady, tak energicznie wyrażanej. Od-

dala się, ale sprawia sobie pewną ulgę, rzucając krzywdzicielowi najpospolitszą antyjską zniewagę:

— Bodajeś dostał kijem, oszukańcze!

Pokonany tą uprzejmością, rzeźnik wzywa ją do powrotu, daje „kawalek mięsa,” którego żądała, i śmieje się, śmieje, jakby dostał kolek!

Upał pod zielonemi arkadami staje się usypiający, ale silniejszy powiew morza orzeźwia wilgotnem tchnieniem, przesyconem wonią kwiatów i owoców, które zagłuszają ostre wyziewy winiarni.

Wysokie, tęgie i szczupłe kobiety zwalniają kroku, zdają się omdlewać, płyną rozkosznie i niedbale razem z oczyma przymkniętymi: róże wiedzące od żaru.

Idziemy wszyscy czterej, obciążeni do znoju. Le Coatmabergastmelen patrzy z zadowoleniem, jak się uginamy pod ciężarem. W końcu budzi się litość w jego sercu:

— Doskonale, chłopcy! Skończy się ta praca zaraz. Będzie kolej na kucharza, kiedy mu przyniesiemy tyle zapasów żywności.

Droga do łodzi wcale niedaleka, ale jesteśmy straszliwie obarczeni worami i koszami chleba, jarzyn, owoców, ryb i mięsa. Miałem chęć i nadzieję skorzystać z wyprawy, wmieszać się w tłum kupujących i zniknąć w małej zielonej uliczce, która się

otwiera między dwoma drewnianymi pudłami, o lekkich balkonach i werandach. Ale kapitan nie odstępuje mnie ani krokiem. Nie przypuszczam, żeby w tem była złośliwość: nie ma przecież żadnego podejrzenia, ale jest w dobrym humorze, usposobiony do gawędy, i na nieszczęście mnie dziś obrał za słuchacza.

Wszystko jedno, — układam inny plan ucieczki, daleko prostszy i łatwiejszy, nie wymagający, rozpychania tłumu, ani pędzenia klusem. Zaczekajmy do wieczora.

Powracamy na statek i siadamy do śniadania na pokładzie, pod namiotem z żagli, niezbędnym dla ochrony od antylskiego słońca. Bawimy się panoramą drobnych zdarzeń na pokładzie sąsiednich statków i w kajutach. Przed nami w błękitnym blasku, czarodziejski krajobraz wyspy.

Wkrótce wieść upragniona zachwyca mię w najwyższym stopniu: wszystkie sprawy w porcie Saint-Pierre załatwione i Augustyna Bourdon odpływa jutro do Haiti. Po zachodzie słońca muszę znaleźć, sposobność której szukam, a jutro, kiedy będę wędrował swobodnie po cienistych alejach i piaszczystych drogach, lekko ocienionych wielkimi palmami, trójmasztowiec, zajęty własnym celem, nie będzie miał czasu na poszukiwania.

Nie zawiodłem się w tem obliczeniu.

Ku wieczorowi wyczerpała się gorliwość dostawców, interesantów i ciekawych, dla których każdy żaglowiec jest polem obrachowanej spekulacji. Znużyli się nakoniec; noc ochłodziła ich zapał.

Okolo w pół do ósmej, właśnie podczas obiadu, przed ukazaniem się na horyzoncie srebrnej tarczy księżyca, z plaży dał się słyszeć znowu, tylokrotnie podczas dnia słyszany, okrzyk:

— „Augustyna Bourdon!“ Ho!..

Tym razem wszyscy zaprotestowali, zaczawszy od majtków, aż do kapitana, który, siedząc przy stole koło głównego masztu, kończył swoje krewetki i butelkę wina.

Tego się spodziewałem. Ku najwyższemu zdumieniu Le Coatmabergastmeleny, który znał moje wrodzone lenistwo i wstręt do wszelkiej pracy, podniosłem się bez pśpiechu, ale i bez wahania. Towarzysze rzucili kilka słów niechętnych o dodawaniu odwagi „nudziarzom.“ Odpowiedziałem na to w sposób nieoczekiwany:

— Tak to bywa: nie chce się słuchać wieczorem, a rano żal spóźniony. Może to coś ważnego, o czem powinniśmy wiedzieć?

— Bah! Zwyczaj Marek nocny, który szuka, czego nie zgubił,

— Skoro się nie ruszacie, cóż was to obchodzi? Mojem zdaniem, należy się dowiedzieć, czego żąda.

— Utopisz siebie, albo łódkę.

— Ani myślę! Jestem lichym marynarzem, ale steruję, jak sam nieboszczyk Banc á coulisses.

— To prawda! — mruczy jowialnie kapitan. — Sterowałeś zapewne całe życie w pudle od mydła między la Morgue a... Operą (!).

Nie czas na geograficzne sprostowania; wolę pozostawić go w błędzie. Pozwala mi popłynąć, to rzecz główna.

Noc jest wspaniała, ciemno-lazurowa, aksamitna, gwiazdy zdają się uśmiechać do swego odbicia w morzu.

Spuszczam drabinę, rzucam łódkę na płynne niebo, w którym gwiazdy pod ruchem fali zamigotały nagle niby błyskawice, i płynę, płynę szybko do pomostu. Widzę wołającego na wybrzeżu; powtarza swój przeciągły okrzyk bezustannie, dopóki koniec barki nie uderza w deskę o dwa kroki od niego.

Jest to stary jegomość, bardzo czarny, o fizjognomji rodzicielskiej i szanownej. Spostrzega mię наконец i uśmiecha się do-

brotliwie przy łagodnym blasku gwiazd na ciemnem niebie.

Zdejmuję kapelusz i przemawiam z wielką grzecznością:

— Może pan będzie łaskaw zaczekać na mnie pięć minut. Kapitan kazał mi kupić dwa litry rumu u Cambrysa, wprost biura żandarmerji.

— Idź, idź, mój kochany, ale spraw się prędko! Muszę się widzieć jeszcze dzisiaj z kapitanem w niezmiernie ważnej sprawie. Jestem „Missié Celinice Inzinor!” — śpiewa gardłowym basem zacny starzec.

Oceniam w nim głos mówcy rady municypalnej.

Przebiegam szybko rynek i znikam w ulicy, ciągnącej się pod górę. Tu osłania mię las zieleni, owiewa mię gorąca, słodka woń cieplarni: Nie myślę o szanownym Celinice Inzinor.

Bardzo to pięknie być na ziemi, wolnym, w pobliżu kolonji, gdzie przebywa „moja księżniczka,” ale mam już tylko sto su w portmonetce i niewiem, gdzie noc tę prześpię. O noclegu pod ciepłym i gwiazdistem niebem nie można myśleć, gdyż jadowite żmije lubią tu przechadzki w ciszy pogodnej nocy.

Idę przed siebie długo, bez kierunku, pod gęstem, ciemnem, liściastem sklepie-

niem i wychodzę na koniec na szeroką drogę. Wyczerpany i znużony nie myślę już teraz o niczem, pragnę tylko znaleźć kącik do przespania w pierwszym domku, jaki napotkam.

Oto jeden, niewielki, powierzchowności miłej i zachęcającej. Dach zniknął w fantastycznej masie pnących roślin, błękitnawych w świetle księżyca, a lekkie słupy, które podpierają ganek, oplatają kwitnące pędy.

Gospodarze poczciwi, czarni, o wesołych i szczerych twarzach, przyjmują mię, jak towarzysza. Ludność Martyniki jest bardzo gościnna: podają mi szklanekę kawy, kroplę rumu i duży talerz zupy z gotowanej ryby z grochem i drugim, nieznanem mi ziarnem.

Nikt mię nie pyta, kto jestem, co robię, co myślę robić jutro. Prosto dają mi nocleg, i zasypiam szczęśliwy, słysząc szept przyciszony tej zacnej rodziny.

Nazajutrz muszę z nimi podzielić śniadanie, a gospodarz, spostrzegłszy mój nóż, zawieszony u pasa, który mi się przypadkiem wysunął z kieszeni, robi wyraz twarzy bardzo tajemniczy i tłumaczy mi coś obszernie po kreolsku.

Nic nie rozumiem, więc zadaje sobie pracę, aby mi rzecz wyłożyć po francusku.

Przy obustronnej woli jakoś się porozumiemy.

— Nóż mówi, dużo mówi! Powie, że uciekłeś ze statku. To niebezpieczne. Żandarmi w dużych butach będą gonili. Ale nie masz pieniędzy, prawda? Ja także nie bogaty, ale dziesięć su znajdzie się zawsze dla „kolegi“ w potrzebie.

Zarabia dwa franki dziennie ma siedmioro dzieci!

Opieram się daremnie; muszę schować do kieszeni ofiarowane pięćdziesiąt centymów. Śmieję się niby, ale nigdy w życiu nie byłem jeszcze nikomu tak wdzięczny. Wartość czynu to chęć szlachetna.

Nie dość na tem. Nim stąd odejdę, muszę jeszcze uwolnić gardło od „mabuja.“ Jest to płaz fantastyczny, który podczas nocy straszliwymi szponami wpija się w krtani ofiary i nie puszcza jej dobrowolnie. Jedy-nym środkiem na tę dolegliwość — dobry łyk rumu.

Człowiek „elegancki,“ odczepiwszy „mabuja,“ posyła za nim natychmiast żandarma, to ma znaczyć, polyka nową porcję rumu i zaraz popija łykiem czystej wody.

Nakoniec jestem w drodze, ścisnąwszy serdecznie zaciętą dłoń Cyserona Fanfana, gospodarza.

Myślę, że na całym świecie niema lep-

szej, poczciwszej ludności, niż mieszkańcy Martyniki, biali, czarni i mulaci.

Gdzież teraz zwróćę kroki? Czy skieruję się prosto ku Fort-de-France, aby tam powziąć wiadomości, gdzie przebywa małżonka gubernatora Gwadelupy, która musi być znana?

Odrzucam tę myśl, jako bardzo niepraktyczną. Popierwsze: po cóż miałaby Irena posuwać się tak daleko, aby znaleźć świeże powietrze? Cała kolonja jest tu znakomicie zdrowa, prócz kilku zaledwie punktów. A powtóre: pytania takiego włóczęgi o małżonkę wysokiego urzędnika musiałby na mnie skierować uwagę i niewątpliwie wzbudzić podejrzenia.

Nieokreślone, ale silne przeczucie każe mi raczej wrócić znów do Saint-à-Pierre. A czyż nie najrozsądniej zawierzyć przeczuciom, instynktowi, który służył mi wierne aż dotychczas?

Niech srebrny pieniądz Cycerona Fanfana będzie moim przewodnikiem i wyrocznią! Podrzucam go w powietrze; jeśli upadnie twarzą, zwracam się na północ; jeśli stroną przeciwną—idę na południe.

Twarzą! Do Saint-Pierre trzeba powrócić stanowczo.

W chwili, kiedy zwróciłem się w stronę przeciwną, wróżbę potwierdza dziwny zbieg

okoliczności, w którym widzę tajemniczą pomoc i zachętę.

Z miejsca, gdzie otrzymałem zgodną z instyktem odpowiedź losu, skutkiem właściwości pochylenia gruntu, ziemia zupełnie znika z oczu widza, i przed oczyma rozciąga się tylko nieskończone, błyszczące, szafirowe morze.

Otóż w tej samej chwili, kiedy wzrok mój spoczął na błękitnej fali, z poza lśniącego muru zieloności ukazuje się koniec masztu, dalej drąg, drugi maszt, trzeci, na koniec cały kadłub, znany mi kadłub „Augustyny Bourdon“, do kroćset! jedyne go w porcie statku płowo-czerwonej barwy, którą o kilka mil rozróżnić można.

Pocziwy żaglowiec odpłynął spokojnie, zostawiając mnie własnej doli. Hurah! hurah!.. Saint-Pierre już nie groźny dla mnie: mogę wrócić do miasta, przejść je wzdłuż i wpoprzek, i dążyć ku północy, zawsze ku północy!

Wesoło zbiegam ku plaży drogą skróconą, jednak dosyć długą; mijam trzy ulice: du Mouillage, du Centre i du Fort, z drewnianymi domami, starymi, nowymi, pięknymi i brzydkimi, ale utrzymanymi w czystości, jedne bez ozdób, inne oplecione pnąciami się roślinami. Widzę las biskupstwa, ciemno-zielony, prawdziwie kreolski, który

przypomina „Pawła i Wirginię“, teatr, rze-
kę Roxolanę, most kamienny, i wszystkie
kwiatowe ozdoby, rynek du Fort, kościół
Piotra i Pawła o białych kolumnach, ocie-
nionych szmaragdowymi piórami kokosów.
Mijam ostatnie domy.

Oto biały pałac Perinella, niegdyś słyn-
ny z piękności i dziś jeszcze wdzięczny
w otoczeniu wysokich, lekkich drzew pal-
mowych.

Znów idę—bardzo długo, — wreszcie
odpoczywam w jakiejś oberży w afrykań-
skim stylu, pokrzepiając siły pierwszą lep-
szą strawą.

Powiew morski kołysze kiście kokoso-
we, osypane jasnymi djamentami rosy, któ-
rą rzuca wytrysk wesołej fontanny, rozpry-
skując beryle, turkusy i srebro. W głębi
obszerna willa, niby z białego światła, prze-
gląda przez złocisto-szmaragdowe liście po-
śród róż purpurowych, które krwawymi pla-
mami znaczą jej śnieżne ściany.

Znam ten dom. Widziałem go w cu-
downem marzeniu, wzbijając się ku gwiaz-
dom.

Teraz wiem, że Irena musi być tu
blisko; teraz zobaczę ją wkrótce...

Służba wszystkich odcieni, od białej
skóry Normandczyka do czarnego atlasu
prawdziwego Afrykanina, snuje się wzdłuż

galerji, po schodach, na werandzie, pod zielonymi klombami drzew, które otaczają willę.

Nie śmiem pytać nikogo, ale jestem coraz pewniejszy, że zawinałem do dobrego portu.

W gaju pomarańcz wysokich, jak cedry, czekam cierpliwie, długo, ale zaczynam wątpić, czy ujrzę dziś „księżniczkę“. Wtem dobra (?) moja gwiazda zsyła mi pomoc niespodzianą, na którą liczyć tu nie mogłem. Obok mnie staje Chapitel, dawny lokaj Roffieux'ów, który, jak mię objaśnia, przyjął teraz służbę u wielkiego dygnitarza, Letellier.

— O, panie Veuly!.. — woła ze zdziwieniem. — Pan tutaj? I w tym stroju marynarza?

Następuje obustronne krótkie wyjaśnienie.

— To Leonard, ten z Vasselot, prawdę mówił, utrzymując, że pan taki zajęty naszą panią, boć z nad Sekwany tutaj — kawał drogi!

Ale, jeśli mi wolno — choć prostemu służącemu — wypowiedzieć swoje zdanie, muszę przyznać, że pan ma szczęście! I sama moja pani, żona pana Roffieux'go, miała też żal do pana. A przecie, bez

obrazy, tak, z postawy, nie wygląda pan na żuawa, ani kirasjera! Tamta, pani Roffieux; często rozmawiała z sobą, czy tam mówiła głośno; wysłuchałem raz takiej koronki, kiedy byli goście i trochę pili. Potem rozjechali się wszyscy, a ona została w sali, gdzie przyszedłem zbierać cygara... niedopalone, albo dopiero zaczęte... A ona opowiada, opowiada, i powtarza bez ustanku: „Ach, Filipie Veuly! Filipie Veuly! Poświęciłam się dla ciebie, ty mnie nie kochasz! Ha! kiedy tak, opuszczę cię, oddam na pastwę złości tego łotra Eleazara! A jednak, kochałeś mię, skoro pewnej nocy uciekłeś z Vasselot, aby mię zhańbić swoją rozpustną miłością! Ale zamknięto cię znowu w twojem pudle!” Lepiej to mówiła, niż ja—proszę pana—ale się wyrażam, jak mogę.

Kmohoun, który od owej sceny w przeddzień zatrzymania się w porcie nie dawał znaku życia, zaczął się śmiać szyderczo. Naturalnie, że nie było słyhać jego śmiechu, ani złośliwych szyderstw, ale mnie dręczyły one i wstrząsały nerwy okrutniej, niż najbrutalniejsza wesołość stu pijanych marynarzy.

Chapitel opowiadał dalej o sentymentach dystygowanej Rauli, a Tkoukryńczyk wtórował mu z innego tonu:

— Ach! nic ci nie mówiłem, ale mogłeś sam spostrzedz, gdybyś radził się moich wspomnień. Ale nigdy nie patrzysz w siebie, mój stary! A to można było oszaleć ze śmiechu! Znasz przecie pretensjonalny uśmiech „małżonki Roffieux'go“—znasz go dobrze!.. ha, ha, ha! i wiesz, że to coś... co tylko w podobnych przypadkach... można dostrzedz... ha, ha, ha! taki uśmiech... Nie, nie zdawało mi się! Pęknać można!

Jakież to wstrętne! Odrażający, ohydny Tkoukryeńczyk! Ach, czemuż nie masz ciała, które mógłbym szarpać, bić, rozdzierać w kawałki, w strzępy!

Muszę pamiętać jednak, aby przerażona i okrutna twarz moja nie przerażyła życzliwego mi Chapitela. Nie chciałbym, żeby uciekł: wszak udzielić mi może tylu ważnych wskazówek i objaśnień!

Strasznym wysiłkiem woli uspokajam się wreszcie, delikatnie przerywam zwierzenia o Rauli i proszę, aby zechciał mi udzielić trochę wiadomości o Irenie.

— O, jest zdrowa! Obłąkania niema ani śladu! Ona teraz rządzi panem i panuje w domu. Z początku .. bił ją nawet—miała sińce—przezywał szkaradnymi wyrazami, rzucał w nią różne „rzeczy“, że nawet ma kilka śladów na głowie i twarzy. Ale teraz przy niej jest jedna murzynka, trochę cza-

rownica, która „zadała“ mu podobno napoju, żeby jej we wszystkim słuchał. I tak jest. Taki grzeczny teraz i uprzejmy, taki dla niej na skinienie, że biedaczka musi się dobrze ukrywać, aby mu nie okazać (bo jest bardzo dobra), że wolałaby mieć go dalej... dalej.. nie tak blisko!.. Schudła...

Widząc, że plecie znów niedorzeczności, przerywam mu raz jeszcze i sam zwracam mowę do „urzędnika“ potężnego satrapy:

— Czy wychodzi kiedy z domu po południu?

— O, tak! i zaraz wyjdzie. Właśnie o tej porze, kiedy wiatr idzie od morza, jak teraz, idzie codzień na przechadzkę, aż na drugi koniec Fond-Corre, ku Saint-Pierre, cieniłą drogą, między mangą a kokosami.

Pozbywam się Chapitela, zapewniając go, że przed nocą muszę wrócić na statek. Mówię mu, że spotkało mnie nieszczęście (niestety, aż nadto prawda!), że musiałem emigrować?). Aha! do Wenecueli, gdzie znaleziono właśnie pokłady złota w prowincji Guarico...

Potem robię wielki okrąg i zachodzę z przeciwnej strony willi. Tu zajmuję stanowisko na wąskiej, cienistej ścieżce, którą bujna, podzwrotnikowa roślinność zabez-

piecza zupełnie od ognistych blasków, wytwarzając zmrok zielony.

Tu mnie nikt nie dostrzeże. W ten gąszcz i plataninę lian przenika chyba czarny włóczęga, polujący na synogarlice, albo zbiegły indjanin, szukający palmowej kapusty.

A sam mogę doskonale obserwować całe otoczenie pięknej, białej, świetlanej klatki.

Płyną godziny, a może minuty tak nieskończenie długie

Nakoniec postać kobieca, którą poznałem zdaleka — i nie poznaję... Duszę się. Serce bije mi głucho i mocno; jego uderzenia wstrząsają mię, szarpia.

Postać kobieca w blado-różowym muślinie zstępuje po marmurowych schodach białej werendy. Nikt jej nie towarzyszy.

Czy to ona? Sam nie wiem! Tak, to ona, ale co w niej takiego, co mię miesza i niepokoi? Idzie drogą, ciągnącą się ku morzu; idzie w moją stronę; zbliża się, zbliża, zbliża!

O pięć kroków od ścieżki zatrzymuje się na drodze — i stoi długo, jakby pod wpływem wahania, czy się zanurzyć w ciemnej alei o wielkich, spadających liściach. Widzę ją w pełnym świetle i wpatruję się chciwie; tak: chciwie! Gdybym nie obawiał się okazać śmiesznym, napisałbym, że

oczy moje były głodne i spragnione jej postaci.

Ale co to znaczy, Boże? Z daleka ją poznałem po krótkiem wahaniu; patrząc na nią tak z bliska, nie odczuwam wcale tej bezbrzeżnej radości, której nadzieja sprawiała mi ból rozkoszny, pełen trwogi...

To Irena, a zarazem nie Irena!

Czyż jestem tak brutalnie nędzny i bez uczuć, że mniej ją kocham za to, iż cierpiała, cierpiała bardzo wiele? — to widoczne.

Jest zawsze piękna, ale inaczej, niż wówczas, gdy „gdy weszła we mnie“, nie jak „uderzenie noża“, według wyrażenia bóstwa Baudelaire’a, lecz jak słodki, wonny i potężny balsam, który ogarnął całą moją istotę. Magiczna moc jej oczu jest tak samo wspaniała, jak niegdyś. Cera pobladła nieco, niby zgasła, a jej delikatna słodycz jest podobna do wędniącego płatka kwiatu. Jej płeć gorąca herbacianej róży zdaje się osypana prawie niewidzialnym, subtelnym pyłkiem złota. Cudownei okrutne zgięcia ust różanych są zawsze równie piękne, świeże. Wszystkie rysy zachowały linje czyste. Są takie same, jak były niegdyś (mniej, czy więcej, niż rok temu?), tak, takie same, zupełnie podobne, ale dlaczego całość tak jest różna?

Żadnej wyraźnej zmiany w niej nie widzę, a jednakże to nie jest ta sama kobieta! W jej piękności niema nic chorobliwego,—przeciwnie, wydaje się silniejszą, niż dawniej, bardziej energiczną; w jej oku jaśniej dumna i stanowcza wola, o której nie wiedziałem; jest kwitnąca, tryumfująca, wspaniała! A mimo to, czuję z głębi duszy, że przecierpiała wiele i że zaszło w niej wielkie, dziwne przeistoczenie, skutkiem czego przekształciła się zupełnie najgłębsza treść jej istoty.

I jestem pewien, że to jej dawne odbicie, które widziałem w jej cudownej gwieździe, nie jest dzisiaj prawdziwe.

Jest prześliczna i pełna wdzięku, ale jej czar jest inny, a przez to mniejszy dla mnie.

I wyobrażam sobie, że moja miłość dla niej zmienia się i przeistacza, że budzi się we mnie jakieś nowe dla niej uczucie, ale to już nie tamto, które napępniało mnie trwogą i rozkosznym niepokojem, upajającym aż do szału szczęściem.

Po cóż się ludzić zresztą? To nie jest kobieta, którą kocham! to nie tamta, nie moja Irena. Tamta zniknęła! Tę pożeram i piję wzrokiem, szukając w niej tego „nic“, które wprowadzało mnie w szal upoje-

nia, ale ta Irena, rzeczywista, nie jest moją Ireną!

A więc wszystko skończone! Kocham kobietę, która nie istnieje. Nie mogę mieć nawet nadziei, że spotkam ją w innem życiu, ponieważ zmienił się subtelny pierwiastek, który z niej promieniował, jak aromat z kwiatu. To ona, ale nie Ona! I nigdy już nie będzie tamtą!

Jakaż jest odtąd racja mego bytu? jaki cel?

Nie odczuwam nawet bólu, ale jakąś nieskończoną, martwą obojętność! Nic mi już nie obchodzi. Skończyło się wszystko! Tak, dla mnie nic już niema.

.....
Zaczynam śmiać się tak głośno, że Irena zdziwiona—och, nie przestraszona bynajmniej!—idzie prosto ku wąskiej ścieżce, odchyła ciężką zasłonę lian liści i spostrzega mnie wreszcie.

Nie! stanowczo to nie ona! Nie przypomina tamtej. Cóż w niej zostało z „mojej najdroższej księżniczki“, tak lęklivej, nieśmiałej, cudownie „kobiecej?“ Jej wyraz twarzy stał się energiczny, prawie groźny; głos ma dawny dźwięk słodki, ale poważniejszy, który rozkazująco brzmi w tej ciszy gąszczu:

— Głupi żart, panie! Chciałeś mię

przestraszyć, prawda? Nie udało ci się, ale mię oburza twój niegodziwy zamiar. Odejdź stąd natychmiast! Słyszysz?

Wściekły, niezdrowy gniew wybucha we mnie na dźwięk tych wyrazów nieoczekiwanych. Kmohoun podnieca go całą swą złością. Mimo zmieszania, czytam jasno w jego duszy, jestem zmuszony czytać w niej dokładniej, niż w swojej własnej. I on zionie wściekłością przeciw tej kobiecie, która się poważyła ukazać mu tak zmienioną, która jużby nie mogła dać mu tej samej rozkoszy, jak owej nocy... przeciw kobiecie, która po tem wszystkiem przemawia do nas, jak do psów natrętnych!

W uniesieniu rozpaczy rzucamy się na nią: ja chwytam ją za ręce i ciągnę gwałtownie w gęstwinę. Nie pożądam jej teraz, o, bynajmniej! Nie chcę jej, ani pragnę! Ale zawiodłem się na niej: oszukała mię, ona! Czemuż nie ktokolwiek inny?

Ha, więc pragnę ją zabić, ukarać to kłamliwe ciało! Tak, kłamliwe, bo się zmieniło, bo nie oddziaływa na mnie tak, jak dawniej. Pragnę ją bić, jak zwierzę z epoki kamiennej, karzące swą obłudną towarzyszkę w zemście za długą zdradę!

I oburzony sam przeciwko sobie, ude-

rzam ją jednakże z wyrafinowanym okrucieństwem.

I stało się, co przewidywałem, nie śmiejąc się do tego przyznać: poznała mnie!

Zamilkła nagle, nie chcąc, by jej wołanie sprowadziło pomoc, która byłaby dla mnie okropnym wyrokiem. Czegóż się mogłem spodziewać od ludzi, którzyby pośpieszyli tu na jej ratunek? Obitoby mię, jak potworne zwierzę. W Vasselot postąpiłem z nią nikczemnie, dziś dręczyłem ją, jak kot najpodlejszy! Ale dzięki jednej chwili... może kilku sekund... stałem się czemś w jej życiu... nietykalnem. Ja pastwiłem się nad nią... ona broniła mię milczeniem.

Ha! dzikie, wściekłe zwierzę! Jej wielkie łzy sprawiają mi rozkosz zwierzęcą; śmieję się, widząc, jak zaciska szczęki, aby nie krzyknąć. Miażdżę jej ręce, gryzę je, wpijam jej paznogie w gardło. Usiłuje się bronić, ale odbieram jej tę ochotę, szarpiąc jej twarz i piersi, gniotąc ciało, rozdzierając pazurami.

Jakaż bolesna rozkosz jej stłumione jęki! Cierpię jej bólem, ale w tem jest właśnie najdziksze upojenie! Ha, mam nóż!... krew wytoczę! Krwi jej pragnę! Niewiele. Nie chcę jej zabić tak prędko; nasycić się tą przyjemnością!..

Placzę z nią razem... Cóż to za słodka tortura ta litość zwyciężona! Placzę, ale szaleję!

Irena nagle spostrzegła błysk noża. Oczy jej wyrażają strach nieopisany i... tak słodki i błagalny wyraz... Cóż to, Boże! czy obłąd jej wrócił? Zarzuca mi na szyję gorące ramiona i pali... pali... usta pocałunkiem!

Rozumiem! Głupia! — pragnie się ocalić, oddając mi swe ciało. Lepiej, widać, podobalem jej się tam, w Vasselot; tamta pieszczota była mniej okrutna!

Ha! i ze wściekłością gryzę, jej usta zębami, aż krew trysnęła!..

Nagle szalone uniesienie moje znika bez śladu. Miejsce gniewu zajmuje litość, prawdziwa, rozdzierająca, która kraje mi serce i przenika bólem tak okropnym, iż wyję prawie.

Niegodny Kmohoun, krwawy duch, z gwiazdy dalekiej i strasznej źródło nie ludzkiej siły i dzikości... opuścił mnie „nazawsze!”

— „Nazawsze!” — ten wyraz, zdaje się, że słyszałem fizycznie tym razem.

Czy odleciał zadowolony i szczęśliwy, że doprowadził mnie tam, gdzie zapragnął: do najniższego stopnia upodlenia? Czy przeraziłem go ostatnią zbrodnią, dla której

próżno szukałbym imienia; płacąc na jego rozkaz krwią za pocałunek?

W każdym razie w historii świata jest to chyba występek bezprzykładny.

V

Prawie nie mam siły już pisać po tem wyznaniu najstraszniejszej rzeczy, jaką w ciągu istnienia swego popełniłem.

Zdaje się, iż upadłem na ciało Ireny, oblewając je łzami, okrywając pocałunkami i pieszczotą... Tak było niezawodnie. Przypominam sobie nawet, iż jej skaleczone usta oddały mi pocałunek przebaczenia.

.

Zemdlała. Byłem pewny, że umarła. Nadbiegła zresztą pomoc... szukano jej... usłyszano moje rozpaczliwe krzyki. Rozpacz i przerażenie odbierają mi rozum i przytomność: jestem tylko ściganym zwierzem...

Co się stało potem?

Zdaje mi się, że utonąłem w nieprzebytym gąszczu podzwrotnikowych lasów, kryjąc się w cieniu zielonej otchłani. Prawdopodobnie przebyć musiałem czas dłuższy w tem potężnem, fantastycznem, groźnem otoczeniu, najpiękniejszym, jakie

widziałem w ciągu całego życia, jedząc nieznanne i dzikie owoce, pijąc wodę strumienia, noce spędzając na drzewach, wśród gałęzi mocnych i poplątanych z sobą.

Pewnego dnia schwytali mnie ludzie na łące niedaleko morza.

Tak, widziałem przed sobą port, domy, miasto...

Ile pamiętam, nieśli mnie związanego, niby małpę, schwytaną żywcem. Potem rzucono mnie do ciemnej nory.

Zapewne byłem znowu zamknięty w domu obłąkanych, gdyż niekiedy słyszałem straszne, nieludzkie krzyki kobiet, zupełnie jak tam, w Vasselot.

Jak długo tam byłem? Czy uciekłem? Jakim sposobem? Nic nie wiem...

Jestem na okręcie; potem na innym; pracuję machinalnie, raczej ogłupiały, niż szalony; nikt nie przyjąłby do służby warjata. Głupiec — to co innego!

Zdaje mi się, że byłem w Gujanie, La Plata, na południu Chili, w Valparaíso, gdzie nie przyszło mi na myśl zapytać o losy doktora Magne'a i Nigeot'a.

Mogę jednak powiedzieć kilka słów o ich przygodach w szpitalu małej rzeczypospolitej, w kraju bardzo gorącym, w środkowej czy południowej Ameryce.

Atak silnej gorączki z maligną otworzył mi drzwi tego przybytku „wzorowego,” założonego tutaj przez dawnych moich towarzyszków, którzy właśnie w tym czasie znajdowali się tu jako chorzy, po wydaleniu ich z Chili za zbyt głośną propagandę religijną. Zaliczeni do zupełnie nieszkodliwych, mogli chodzić wszędzie bez ograniczenia, po ogrodzie i salach, siejąc, według własnego przekonania, ziarno prawdy, zbierając błogosławieństwa i lecząc cudowną mocą, gdyż wyobrażali sobie teraz, że byli bogami.

Bardzo szczęśliwi ludzie!

Naturalnie, że byli czystymi duchami, a nie mając ciała, nie myśleli o niem. Takie zaniedbanie zmieniło ich bardzo, ale czuli się doskonale szczęśliwymi.

W tej samej bezimiennej rzeczypospolitej srodkowej czy południowej Ameryki dosięgła mnie wieść, która rozdarła mi serce: Wyczytałem w gazecie zawiadomienie stylem urzędowym, iż niejaki pan Letellier, pełnomocny minister francuski, ex-gubernator Gwadelupy i kolonji, który z administracji kolonialnej przerzucił się do dyplomacji z łatwością, charakteryzującą naszych polityków — otóż pan Letellier był oskarżony o więzienie własnej żony.

Ponieważ zaś po kilku tygodniach leczenia i poważnem badaniu uznano mię za dotkniętego „zwykłym kretynizmem“ nieuleczalnym, ale nieszkodliwym dla osób, uzbrojonych dobrym kijem i obutych (sic!), byłem uwolniony ze szpitala, i oto czego byłem znowu świadkiem po kilku dniach swobody:

Wyszedłem rano, chcąc odpłynąć statkiem z portu de Majaderos. Podróż niedaleka przez las podzwrotnikowy, błyszczący szmaragdami i djamentami rosy po niedawnej ulewie, gdyż było to w porze deszczów. Na skrócie drogi, gdzie przystanąłem na chwilę, wpatrując się z zachwytem w drzewa, osypane niby różowym śniegiem, świeżymi kwiatami, ze zmysłową rozkoszą upajając się ich rajską wonią, tchnieniem szczęścia, napełniającem powietrze — ujrzałem wychodzących z gęstwiny dwóch ludzi, o twarzach szpiegów i zbrodniarzy. Przeszli o kilka kroków zaledwie ode mnie, niosąc nagiego, skrwawionego trupa kobiety pięknej, której długie włosy wlokły się po mokrej ziemi.

Cóż to za nowy obląd w moim mózgu? Zdaje mi się, że ci ludzie, których przelotnie widziałem, są dozorcami w szpitalu, skąd tylko co wyszedłem?

Brutalnie rzucili ciało na rodzaj furgonu, którego dotychczas nie spostrzegłem, i nim ochłonałem ze zdumienia, koń popędził galopem po błotnistej drodze. Błoto pryska dokoła i pada wielkimi, żółtawymi plamami na posępny ekwipaż.

Po chwili wszystko znika.

Ja zostaje na miejscu godziny... godziny; tarzam się w błocie w straszliwym ataku najdzikszej, najokropniejszej rozpacz. Bo w chwili, gdy wóz mijał mię o kilka kroków, widziałem.. skamieniały, niezdolny do ruchu, bezwładny wobec nikczemnych siepaczów — (tak: katów i siepaczów! przypominam sobie ohydłą wizję, którą miałem ongi!) — mimo zbłoconych włosów i strasznej chudości, mimo wszystko, widziałem i poznałem w nieszczęsnym trupie niegdyś tak ukochaną „moją najdroższą księżniczkę!“

.
.

Nie wiem jakim sposobem wróciłem do Francji.

Widziałem się z Julianem, ale mimo całej wymowy, nie odstępiałem od swego

zamiaru i wróciłem do Vasselot, którego nie opuszczę aż do śmierci.

Śród tych białych budynków i ogrodów istnieje zaklęty dla mnie duch Ireny. Najpiękniejszy śród Najpiękniejszych, w dawnej swojej postaci. To jej słodkie wspomnienie uśmiecha się do mnie w blasku złotych promieni, śród róż purpurowych, z okna, w którym poraz pierwszy ją ujrzałem.

.
.

Leonard prosił, aby znowu powierzono mię jego pieczy. Wrócił mi swój szacunek, skoro poznał przyczynę mej ucieczki: Nie powtórzyłem mu tylko smutnego końca marzeń.

Ma teraz kapelusz melon koloru białolila, który otrzymał w darze od młodego pacjenta, rodem z Liberji. Słusznie czy niesłusznie, wyrzekł się też całkiem i stanowczo benzyny, kiedy chodzi o czyszczenie tak delikatnej sztuki. Zamiast tego, bierze teraz... przysięgam, że nie kłamię.. bierze lekcje akwareli od poczcziwego warjata, który dostał niegdyś medal za sztukę stosowaną, aby w razie potrzeby, za pomocą pendzla, naprawić uszkodzony „melon.“

Pani Robinet już nie widziałem; podobno wyszła za mąż po raz drugi za nauczyciela. Jeśli teraz wróci jej chęć dopisania, będzie miała czarną tablicę i kredę. Żałuję tylko uczniów jej małżonka.

KONIEC.

